

Biuro UMCS  
LUBLIN

2552/1979/20

**MIĘDZYNARODOWY  
KONKURS  
MŁODYCH  
SKRZYPKÓW  
W LUBLINIE**

Stefan Münch str. 8-9

**Saper  
z Jedlanki**

Alojzy Sroga str. 10-11

**LUBELSKI WĘGIEL**

**Teraz  
w poziomie**

Tadeusz Jasiński str. 6-7

# Kammena

LUBLIN 30 IX 1979 NR 20 (688) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

## NASZ UNIWERSYTET

Ireneusz J. Kamiński

rujący do władz Uniwersytetu podania o treści redagowanej w znacznym stopniu przez tragiczne doświadczenia okupacyjne.

Pamiętam doskonale, że byliśmy wszyscy wzruszeni — wspominał po latach prof. dr Tadeusz Kielanowski. W czasie mówienia obserwowałem, jak w świetle budzącego się zimowego dnia wylaniały się przede mną coraz wyraźniej sylwetki studentów-żołnierzy, siedzących gęsto obok siebie na zaimprowizowanych z prostych desek „ławkach uniwersyteckich”. Kilka razy musiałem przerwać mówienie, bo zagłuszały moje słowa przejeżdżające Alejami Racławickimi w kierunku bliskiego frontu kolumny samochodów pancernych i czołgów.

Są to jednak fakty na ogół znane, a przynajmniej wielokrotnie eksponowane przez prasę, więc jeszcze jedno przypomnienie, że np. pierwsze posiedzenie Senatu UMCS odbywało się, z braku krzeseł, na beczkach, nie nowego do sprawy nie wnoszą, podobnie jak ewentualna wzmianka o drodze pozyskiwania przez rektora butów czy płaszczy dla profesorów — via organa rządowe. Kwestię tradycji zamknijmy zatem w krótkim stwierdzeniu: UMCS powstawał w trudnych warunkach, w stanie wyjątkowym historii, nie dysponując własnymi budynkami, a fakt powołania da życia samej instytucji wcale nie oznaczał ukonstytuowania się szkoły spełniającej od razu wszelkie kryteria uniwersytetu, czyli

Dokończenie na str. 3

## Studenci i dzieci

Bronisław Kowalski

**T**O był kochający mąż — rozpieszczal ją jak księżniczkę — czuły, sympatyczny, przystojny. Ale zanosiło się na długi studencki status ich małżeństwa, ponieważ on był „wiecznym” studentem. Przedłużanie rozwichrzonej przygody młodości miało urok luzu i przekory wobec zademolowanych par na „sierozne” stadła małżeńskie, gdyby nie fakt, że urodziło się dziecko. Dopiero wtedy Jadwiga przejrzała na oczy. Okazało się, że mężowi nie spieszyło ani do pracy, ani do ojcowania. Inni z powodu dziecka się pobierają, oni rozwiedli się. Całkiem na odwrót, niż w statystycznej wylizance.

To ona ukonkretniła słowo „rozwód”. Najpierw wypowiedziała je w zapalczywości i rozżaleniu, po czym pożałowała. I może darowałaby mu tę kretyńską historię z tłumaczeniem się z przygodnego romansiku na poboczu małżeństwa. I darowałaby mu fakt, że przyszedł do niej z tamtą dziewczyną, by spowiadać się ze swych rozterek serca (wyrzuciła oboje za drzwi z ich kłopotami miłosnymi). I może słowo rozwód odsunęłaby na dalszy plan, gdyby nie wkroczyły energicznie dziewczyny z akademika i orzekły kategorycznie: „Pogoń szmatławca raz na

Dokończenie na str. 4

Trzydziestopięciolecie UMCS



Fot. Piotr Maciuk

**L**UBLIN stanowi miasto mające wielkie znaczenie polityczne i kulturalne dla państwa polskiego; położony na wschodnim krańcu polskiego obszaru etnograficznego i na granicy państwa, musi stać się ośrodkiem kultury polskiej na tym obszarze; położony na przyszłym szlaku handlowym z ZSRR, rozrośnie się wkrótce i będzie potrzebował skupienia większych sił intelektualnych... Przygotowania, zrobione przeze mnie do otwarcia w Lublinie państwowej Akademii Medycyny i Nauk Przyrodniczych, doprowadziły do skompletowania grona uczonych wykwalifikowanych, mogących już objąć prawie wszystkie katedry dla roku pierwszego i drugiego — stwierdził w memoriale z 1944 roku prof. dr Henryk Raabe, pierwszy rektor powołanej rychło potem uczelni, noszącej jednak inną nazwę: Uniwersytetu im. Marii

Curie-Skłodowskiej, lecz programowo zgodnej z projektem wybitnego zoologa, bo składającej się początkowo z takich wydziałów: lekarskiego, przyrodniczego, rolnego, weterynaryjnego oraz farmaceutycznego (od 1945 r.).  
Mija właśnie 35 lat od utworzenia UMCS: pierwszej uczelni powstałej w Polsce Ludowej, organizowanej w warunkach wojennych, 50 km od linii frontu, w mieście prowincjonalnym, choć liczącym wówczas niemal 100 tys. mieszkańców. Dogodna to zatem okazja do spojrzenia w tamtą przeszłość, tyle dramatyczną, co barwną, do przypomnienia rozlicznych opowieści i anegdot ilustrujących raz proste, raz szalenie skomplikowane zabiegi wokół ustanowienia tej nowej ideologicznie i materialnie szkoły, do której garnęli się ludzie w mundurach Wojska Polskiego oraz cywile z miast i miasteczek wyzwolonych terenów kraju, kie-



Fot. Piotr Maciuk

# z notatnika

17 IX. Piękną publikację przygotował UMCS na swój jubileusz. 257 stron, dobry papier. Autorzy: Jan Malarezyk, Zdzisław Kowalski, Kazimierz Sykut, Grażyna Butrym, Wiesław Sładkowski, Wiesław Skrzydło, Ryszard Orłowski, Alina Seidler, Grzegorz Leopold Seidler, Edward Olszewski, Roman Mroczkowski, Władysław Kucharski, Alina Aleksandrowicz, Teresa Batorska i Zofia Milaniuk. Kompendium wiedzy o powstaniu i rozwoju Uniwersytetu, jego wkładu w rozwój miasta i regionu, życia społeczno-politycznego uczelni, studenckiego ruchu kulturalnego itd., itp. Sądzę, że do tej publikacji wracać będziemy niejednokrotnie, a w miarę upływu czasu jej wartość będzie rosła. Chciałem tylko dwie rzeczy sprostować: Jerzy Cywoniuk, wychowanek UMCS, nie jest przewodniczącym WRN w Zamościu, ale wicewojewodą w Białej Podlaskiej. A niżej podpisany na drugie imię ma Adam, a nie Andrzej.

21 IX. „Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Lublinie w porozumieniu z Klubem Problemów Ekonomicznych SDP” ujęciem zaprasza na Konferencję Prasową dotyczącą aktualnych problemów przedsiębiorstwa. Konferencja odbędzie się w Puławach 21.09 br. Wyjazd z parkingu przy ul. Karłowicza 2, godz. 13<sup>00</sup>.

Sporo przychodzi tego typu zaproszeń, trudno we wszystkich konferencjach prasowych uczestniczyć. Handel jest jednak szczególnie czułym instrumentem, jeśli tak można powiedzieć, naszej gospodarki. Ciekawe, co tam dyrektor Marian Staroń ma do powiedzenia? Dyrektor jednak urządził się bardzo chytrze: przygotował dla dziennikarzy informację o działalności przedsiębiorstwa (41 stron maszynopisu) i ugościł ich obiadem w domu myśliwskim. Niestety, dziennikarzy nie było zbyt wielu; porozumienie z Klubem Problemów Ekonomicznych SDP okazało się fikcyjne, nie wszystkim zaproszonym odpowiadały godziny, a poza tym nie tylko WPHW istnieje w Lublinie. Nie mniej ci, którzy na obiad przybyli, długo będą ów uroczy klimat, stworzony przez gospodarzy, wspominać. Ostatecznie gdy dziennikarz-klient biegnie do sklepu do sklepu w poszukiwaniu, dajmy na to, butów, jakiś relaks mu się należy. Zresztą tego typu obiady wśród drzew i ptaków mają tę zaletę, że nastrój na nich jest pogodny, niekłępujący, można się lepiej wzajemnie poznać i zrozumieć. I później, już niejako automatycznie, stępią się ostrze krytyki, bo jak tu ganić, skoro etc., etc.

Sięgam jednak do przygotowanej przez przedsiębiorstwo informacji i czytam na pierwszej stronie: „Plan remontów na rok 1979 obejmuje 81 obiektów, w tym 65 p.s.d. (p.s.d. = punkt sprzedaży detalicznej), 10 zakładów usługowych, 6 magazynów. W okresie do sierpnia br. zmodernizowano 10 placówek handlowych, wydając na ten cel 5 752 tys. zł. [...] Remontami natomiast objęto 10 obiektów w Lublinie, Lubartowie, Rykach, Łęcznej i Kraśniku na około 2 700 tys. zł. Ponadto wykonano roboty remontowe w bazach magazynowych na kwotę około 2,4 mln zł. Plan drugiego półrocza obejmuje 26 placówek detalicznych.”

Mam więc czarno na białym: z 81 obiektów zaplanowanych na br. zmodernizowano 10 placówek handlowych, tyleż samo wyremontowano. Przyjmując, że w bazach magazynowych wszystko jest już „okej”, otrzymujemy liczbę 55 (81 minus 20, minus 5). A więc od sierpnia do stycznia trzeba jeszcze będzie odwalić ładny kawał roboty, remontując chyba więcej niż 26 placówek detalicznych. Coś tu nie gra, przynajmniej w informacji.

WPHW nie ma łatwego życia. 172 sklepy posiadają powierzchnię nie przekraczającą 50 m kw. 172 — to ponad połowa WPHW-owskich placówek! Oczywiście robi się sporo, aby sytuacja ulegała poprawie. Mie-

szkańcy dzielnicy Czechów ucieszą się wiadomością, że WPHW zleciło ZTE budowę pawilonu handlowego M-3000 z branżą „wszystko dla domu”. No, ale niestety, od zlecenia do gotowego obiektu droga jeszcze daleka.

WPHW zapowiada na okres jesienno-zimowy (warto trzymać za słowo!) pełne pokrycie potrzeb w następujących asortymentach: bielizna bawełniana i z podbiem, trykotaż przedszkolny, ubiory niemowlęce i kaftaniki bawełniane, golfy, półgolfy i kaftaniki bawełniane, bielizna stilonowa, pończochy cienkie, płaszcze wełniane damskie i męskie, płaszcze ze skaju damskie, płaszcze ortalionowe, weniłowe i elano-bawełniane męskie, kurtki dziecięce gr. 0 (?), obuwie młodzieżowe, obuwie domowe, czapki dziane, pasy elastylowe, tkaniny futerkowe, tkaniny flanelowe. Nie cieszymy się jednak zbyt. Brak pokrycia potrzeb wystąpi w takich na przykład artykułach jak: ubiory z anilany, wełny i mieszanek surowcowych, kurtki męskie z ortalonu, chustki wełniane, rękawiczki wełniane, obuwie damskie, męskie i dziecięce. Jeśli chodzi właśnie o obuwie, to tutaj sytuacja jest bardzo kiepska: wartość niedoborów na II półrocze sięga kwoty 68 milionów złotych. Co prawda nigdy nie wiem, gdy tego rodzaju dane padają, jak dokonuje się takich obliczeń. Kiedy np. moje buty się rozlatują, mogę je jeszcze zanieść do szewca i ten przybije mi nowe podeszwy — kolejną zimę przechodzę. Rzecz jednak w tym, że buty bywają tak marne, iż trzeba je po prostu wyrzucić na śmietnik, nawet przedwojenny szewc nie by im nie pomógł. A gdzie dzisiaj znaleźć takiego mistrza dratwy?

Mimo konferencji prasowej trudno mi więc przywdziewać różowe okulary. Faktem jest jednak, że WPHW w Lublinie za okres ośmiu miesięcy tego roku wykonało plan sprzedaży detalicznej w 101,4 procentach. A w magazynach zapasy obuwia skózanego szacuje się na 138,9 miliona złotych. Pięknie, rzecz chyba jednak w tym, że w większości muszą to być buble. Napisałem tak, ale sądzę, że na spokojnie trzeba by to wszystko poanalizować. Może umówimy się z dyrektorem Staroniem na kawę, ale przedtem połazimy trochę i po magazynach i po sklepach. Od tego właściwie powinna się tego typu konferencja prasowa, jeśli ją traktujemy poważnie, zaczynać.

22 IX. Po sezonie urlopowym mnożą się w naszej prasie reportaże z zagranic. Łódzkie „Odgłosy”, szacowny skądinąd tygodnik, uznały temat za tak ważny, że poświęciły mu w sumie kolumnę druku, w tym prawie połowę pierwszej strony. Czytajmy więc i cytujmy.

Dokąd to wybrał się autor „reportażu zagranicznego”, jak głosi nadtytuł? Do Bułgarii via ZSRR i Rumunię. Nie indywidualnie, ale w grupie dziennikarzy z Łodzi, Warszawy, Opola i Zielonej Góry. „Wesoly Autobus” (ważna informacja!) prowadzili: pan Bolek i pan Zbyszek. Pierwszy — „kierowca doskonały”, drugi — „pelen optymizmu”.

Na wstępie sprawozdawca „Odgłosów” pilnie wyliczył, że z Przemysła do Medyki jest 18 kilometrów, a potem zapodał, że przed przejściem granicznym stało zaledwie z pięćdziesiąt samochodów. Zaledwie, ale dziennikarzom bardzo się spieszyło. Autokar przejechał pod szlabanem po cwaniaku, bo z boku — omijając osobowe samochody. O reakcji kierowców tych samochodów nie wiadomo.

Po noclegu we Lwowie ruszono w dalszą drogę o świcie. A oto kolejne szczegóły: „Po minięciu Czerniowców coraz częściej spotykamy bogato zdobione mozaikowe domy — znak, że zbliżamy się do granicy. Zbliża się zatem granica, ale i zbliża się noc. Na przejściu w Mościskach widzimy jak w telewizji idzie film wojenny. Seans się przedłuża — czekamy na happy end — kiedy wreszcie następuje, przychodzi kolej na nas. Wydajemy ostatnie ruble na szampan i koniak w bufecie

obok komory celnej (...) Wreszcie około godziny pierwszej w nocy radziecki pogranicznik podnosi szlaban — droga wolna.”

Zaraz, zaraz... Mościska stacją graniczną między ZSRR a... Rumunią? Dużo musiało być tych ostatnich rubli i sporo płynów, skoro autor nie zauważył nawet, gdzie to tak pije. Ale redaktor naczelny „Odgłosów”, Jerzy Wawrzak, kwalifikując tekst do druku, mógł przecież zajrzeć do atlasu, a przynajmniej woli (powiedzmy — z większym namysłem) czytać reportaż. Ewentualnie mógł się poradzić kolegi, chociażby Kondrada Frejdlicha, znanego globtrotera, pogromcy „Szpilek”. Ale to na marginesie.

Jedźmy więc dalej do tej egzotycznej Bułgarii. Na razie jeszcze Rumunia. „W południe — stwierdza autor — zatrzymujemy się w Bukareszcie. Już się czuje klimat południa.” Prawda, jakie to odkrywcze? A sam Bukareszt? Sam Bukareszt „jest otoczony lasami i jeziorami, leży na Nizinie Wołoskiej nad rzekami Dimbowia i Colentina.”

Myślałem, że nad Wisłą. Wreszcie cel wycieczki — camping „Oasis” koło Miczurina. Zaledwie cztery akapity, ale jakże ważne! „Dwanaście dni słońca, morza, plaży, relaksu. Słoneczny Brzeg — ten zaraz za skarpą i „Słoneczny Brzeg” ten w pękatej butelce, w której — jak mówią Bułgarzy — zakłute jest słońce o zachodzie. To prawda — „Słoneczny Brzeg” można zażywać tylko po zachodzie słońca.” Ejże? Tylko po zachodzie? Gruba przesada! Z autorem omawianego reportażu piliśmy przed rokiem to zakłute słońce kiedy jeszcze do wieczora było daleko. Nie zauważyłem różnicy. Ale może trzeba będzie pojechać teraz do Bułgarii, aby rzecz całą sprawdzić na miejscu?

Wycieczka wracała do Polski przez Jugosławię „na wariackich papierach”, które jednak nie były takie wariackie, skoro dojechała.

Jugosławię — to nowe wrażenia, bogactwo obserwacji: „Pędzimy autostradą — mijają nas setki aut tureckich gasterbeiterów, zdążających do pracy w RFN. Wielkie, niemodne już i bardzo zużyte wozy, kupowane zapewne za bezcen, albo wręcz wypożyczone — amerykańskie ford i continental, kolorowe mercedesy, mikrobusy volksvageny...” Niemodne, zużyte, ale zazdrości się, co?

W Belgradzie nędza zagląda do oczu i ście żołądki. Za 5 dolarów (wymienionych na 92 dinary) „można zjeść skromne śniadanie i ewentualnie kupić butelkę Coca-Coli.” Jakaś ta coca-cola ekstra, przez duże C! „To nie kraj na naszą kieszeń — wzdycha sprawozdawca i wraca do kochanej Polski, gdzie za skromniutką porcję golonki z paroma listkami surówki płaci w przydrożnym zajeździe 150 złotych. „No — jestem w domu!” — kończy entuzjastycznie reportaż zagraniczny.

I po to trzeba się było tłuc „przez siedem granic” (tytuł reportażu)? A nie lepiej już było wybrać chociażby do Niedźwiedzik koło Szczecina, jak niżej podpisany, i pić mleko prosto od krowy? Przynajmniej nie miałoby się po nim kaca.

Marek A. Jaworski

## KOMUNIKAT

Na podstawie porozumienia między Lubelskim Oddziałem Związku Literatów Polskich a Wydziałami Kultury i Sztuki Urzędów Wojewódzkich oraz Wojewódzkimi Radami Związków Zawodowców w Lublinie, Zamościu, Chełmie i Białej Podlaskiej — każdego roku przyznawane są Nagrody Literackie im. Józefa Czechowicza w dziedzinie poezji i im. Bolesława Prusa w dziedzinie prozy.

Obydwie nagrody przyznaje się za książki wydane w roku poprzednim — autorem zamieszkałym na terenie wymienionych województw oraz autorem spoza tego terenu — jeśli książka jest tematycznie związana z makroregionem środkowowschodnim. Książkę poetycką może stanowić zbiór utworów lirycznych, satyr lub poemat; książkę prozatorską — powieść, tom nowel, opowiadań, esejów, wspomnień i reportaży o walorach literackich.

Dzieła spełniające te warunki prosimy przysłać pod adresem: Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich, ul. Graniczna 9, 20-010 Lublin — do 15 października 1979 r. O wysokości i podziale nagród zdecydować Jury tegorocznej edycji nagród.

## SZPALTA O SPORCIE

**P**OŁOWA września. Kolejne mecze ligowe. „33 bramki w ekstraklasie” — napisze „Przebieg Sportowy”. Ale w środę rozgrywki pucharowe, największe więc zainteresowanie wzbudzają pojedynki z udziałem naszych drużynowych reprezentantów. Ruch Chorzów sromotnie przegrywa u siebie z Górnikiem Zabrze (1:3), Widzew Łódź traci dwie bramki i to na własnym boisku, a zdobywa tylko jedną ze Śląskiem Wrocław. A w Mielcu już prawdziwy pogrom Stali. Arka Gdynia wywozi dwa punkty i strzela cztery bramki. Stal wymęczyła jedną. Później okazuje się, że w Totalizatorze Sportowym nie ma nawet dwunastki, a wypłata za jedenastkę bije dotychczasowe rekordy. Huśtawka trwa, co tydzień zmienia się lider. Emocji więc nie brakuje, ale ta niestabilizowana forma naszych drużyn nic dobrego nie wróży przed sportową środą.

Jedynie trener Arki jest spokojny. Obserwował przeciwnika — Beroe Stara Zagora, Bułgarzy nie są zbyt groźni. A jeśli bitnej Stali strzeliło się cztery gole na wyjeździe, można być optymistą.

Niestety... Wygrana 3:2 nie jest sukcesem, ale porażką — bramki na wyjeździe liczą się podwójnie. W rewanżowym meczu wystarczy Bułgarom wygrać nawet 1:0 czy 2:1 — przejdą do następnej rundy. Obrona Arki popeliwała tak szkolne błędy, że nie można po gdyńskiej drużynie spodziewać się zbyt wiele.

W Berlinie to już prawdziwy pogrom. Dynamo Berlin zdobywa aż cztery bramki, a traci tylko jedną i to dość problematyczną. Teraz Ruch Chorzów, jeśli nie chce znaleźć się poza burzą, musi wygrać co najmniej 3:0. Znając obecną formę Ruchu, trudno o taki wynik.

Stal Mielec pojechała do Danii po remis. AGF Aarhus gra słabiej, kibice tej drużyny dobrze o tym wiedzą, toteż trybuny świeciły pustkami. Do przerwy remis — 0:0. Po meczu remis — 1:1. W rewanżu powinno być lepiej, ale to słaba pociecha.

No i wreszcie Widzew Łódź i słynna St. Etienne. Mecz o dwóch obliczeniach. Ogromne szczęście Widzewa w pierwszej połowie, kiedy to drużyna łódzka traci tylko jedną bramkę, a mogła stracić pięć i zryw w kolejnych 45 minutach uwieńczony dwoma bramkami. Pasjonujące widowisko i w rewanżu wszystko jest możliwe. Ostatecznie przed dwoma laty Widzew wyeliminował Manchester City, wówczas drużynę daleko silniejszą niż dzisiaj, nie stanowiącą czerwonej latarni w tabeli ligi angielskiej.

Zanim jednak dojdzie do kolejnych meczów, naszych piłkarzy czeka spotkanie z reprezentacją NRD. W chwili, gdy ten numer „Kamery” ukazuje się w kioskach, zasiadziemy przy telewizorach wiedząc, że tylko wygrana Polaków stwarza nadzieję, podkreślam — nadzieję, na awans do mistrzostw Europy. Największą przeszkodą będzie przecież Holandia, z którą zmierzymy się na wyjeździe.

Ale meczu z NRD lekceważyć nie można. W Pucharze Europy Dynamo Berlin pokonało Ruch Chorzów 4:1. W Pucharze UEFA Carl Zeiss Jena wygrał z West Bromwich Albion 2:0, a Dynamo Drezno zwyciężyło (na wyjeździe!!!) Atletico Madryt 2:1. FC Magdeburg strzelił Wrexham (też na wyjeździe) dwie bramki, aczkolwiek sam zainkasował trzy. W sumie bilans czterech drużyn — 10:5. Nic dziwnego, że zawodnicy NRD-owscy przyjadą do nas bez kompleksu niższości, tym bardziej, że w przeszłości potrafili z nami wygrać, nawet 5:0, a w ostatnim meczu eliminacyjnym pokonali nas 2:1, mimo że Polacy prowadzili już 1:0. Wcale więc nie jest wesoło.

I na zakończenie: co jest z Pogonią Szczecin? Były pierwszoligowiec spada coraz niżej w tabeli II ligi. Stali Stocznia Szczecin wiedzie się daleko lepiej.

Na naszym zaś podwórku ciągle świeci słońce. Motor Lublin idzie łeb w łeb z Gwardią Warszawa. Co to się będzie działo, gdy dojdzie do bezpośredniego spotkania tych dwóch drużyn? A jeśli Motor wygra z Gwardią, jeśli... Nie, nie, to by było zbyt pięknie. I liga w Lublinie?

Ale o motorze napiszemy szerzej osobno.

GOL

wielokierunkowej wszechniczy kształcącej na poziomie wysokim, obdarzającej absolwentów wrażliwością humanistyczną i rozwijającej liczące się badania naukowe. Natura uniwersytetu przypomina bowiem niektóre dobre gatunki win: wartość zyskuje po latach.

Schodząc na grunt współczesności zapytajmy po prostu, jak w perspektywie potocznego poznania przedstawia się uczelnia, która przed 35 laty liczyła około 1000 studentów i kilkadziesiąt pracowników naukowo-dydaktycznych, administracyjnych itp.? Jak odczuwamy obecność i działalność UMCS na co dzień, w życiu społeczno-kulturalnym i gospodarczym? Co potwierdza, że ta nasza Alma Mater wkroczyła już w wiek dojrzały?

Na parterze rzeczywistości wywołanej tymi pytaniami wyodrębnia się rozległa dzielnicowa uniwersytecka, położona w zachodniej części Lublina i skupiająca: kilka domów studenckich (ponad 3000 miejsc), wielofunkcyjną „Chatkę Zaka” z obszerną stolówką, kawiarnią, 400-miejscową salą widowiskową i innymi pomieszczeniami, Bibliotekę Główną (ponad 900 tys. woluminów i jednostek), hotel asystenc-

Na wyższym piętrze tej swoistej weryfikacji produkcyjnej Uniwersytetu sprawa komplikuje się przecież bardzo. Nie jest bowiem łatwo zmierzyć i ocenić w sposób bezwzględnie sprawiedliwy np. wartości kreowane przez tzw. badania podstawowe, z zakresu teorii czy metodologii różnych dziedzin nauki. Są to bowiem kwestie przekraczające o niebo dziennikarskie kompetencje, porównywalne w ramach systemu danej dyscypliny, a względna czytelność społeczną i użyteczność praktyczną zyskującą po znacznym upływie czasu, nierzadko drogą przypadku. Celem tych badań jest bowiem odkrywanie i definiowanie elementów i praw materii czy kultury, konstruowanie modeli teoretycznych takich lub innych zjawisk. Nie ulega przy tym wątpliwości, że są to badania niesłychanie ważne, właśnie podstawowe dla prawidłowego rozwoju całej nauki, techniki i naszych wyobrażeń o świecie, co jednak nie zawsze znajduje zrozumienie u ludzi traktujących naukę pragmatycznie, jako coś w rodzaju rogu wszelkiej obfitości materialnej. Pamiętając o tym zastrzeżeniu, przypatrzmy się jednak tym wartościom, które będąc rezultatem ogólniejszych prac badawczych prowadzonych w UMCS, dają się zmierzyć, zważyć, przeliczyć na złotówki.

W pierwszym miejscu w Polsce wśród szkół tego typu i pozwala konkurować z niejedną uczelnią techniczną.

W roku bieżącym Uniwersytet realizuje 170 tematów prac zamówionych, z czego 118 przypada na instytuty matematyczno-przyrodnicze, z oczywistych względów szczególnie nas tu interesujące. W Instytucie Mikrobiologii zespół pod kierunkiem Zbigniewa Lorkiewicza kontynuuje badania genetyczne bakterii brodawkowych, których wyniki mają bardzo poważne znaczenie dla zwiększenia wydajności upraw w rolnictwie. Warto przypomnieć, że prace te, rozwijane w czolowych laboratoriach świata, prowadzone były na zlecenie Departamentu Rolnictwa USA, a profesorowi powierzono swego czasu funkcję koordynatora „problemu Rhizobium” na międzynarodowym zjeździe naukowym w Edynburgu oraz zadanie zorganizowania odpowiedniej konferencji w Warszawie, w ramach RWPG.

Jerzy Trojanowski i Andrzej Leonowicz z tegoż instytutu opracowali model biologicznego rozkładu ligniny, który spożytkowany praktycznie może służyć m. in. do produkcji biomasy paszowej.

Z ważniejszych opracowań Instytutu Nauk o Ziemi na uwagę zasługują: studium wybranych elementów środo-

tami i wdrożeniami zakończyły się badania Tadeusza Matyni, Teresy Bartoń i innych osób nad kompozycjami epoksydowymi, termoodpornymi żywicami bismaleidowymi, rozcieńczalnikami i utwardzaczami.

Ten niekompletny rejestr dokonanych fragmentarycznie ilustrujący kwestię przydatności praktycznej efektów badań naukowych prowadzonych w niektórych Instytutach UMCS, wypada uzupełnić o informacje na temat bezpośredniej współpracy uczelni z przemysłem, obejmującej 11 przedsięwzięć z różnych miejscowości kraju.

Wyjątkowo cenne rezultaty przyniosła kontakty robocze Instytutu Chemii: z „Bipowodem”, Zakładami Azotowymi w Puławach, Polskimi Odczynnikami Chemicznymi w Gliwicach, Zakładem Odczynników Chemicznych w Lublinie i Hutą Stalowa Wola. Uczelnia opracowała metodę oczyszczania ścieków przemysłowych z jednoczesnym odzyskaniem chemikaliów (dla Puław i Stalowej Woli), ściśle współdziała z „odczynnikami” w zakresie wdrożeń, technologii, konstrukcji aparatury, szkoląc nawet kadry zakładu lubelskiego.

Wymiernie rezultaty przynosi też współpraca Instytutu Fizyki z Wytwórną Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku, która wspomagała zespoły badawcze Uniwersytetu materiałami, maszynami oraz etatami (!), w zamian otrzymując rozwiązaniem kilku istotnych problemów z zakresu technologii i metod kontroli produktów.

Od trzech lat UMCS odnotowuje wartościowe i intensywne wdrażanie wyników prac badawczych, prowadzonych w uczelni. Metoda odwadniania mulw węglowych poprzez aglomerację sflokulowanych osadów, opracowana przez Jerzego Szczypę, Jarosława Neczaj-Hruzewicza, Alicję Monies, Ryszarda Sprychę, Władysława Janusza i zastosowana w Kopalni Węgla Kamiennego „Bolesław Śmiały” w Łaziskach, dała efekty o rocznej wartości 12 mln zł. Wynaleziony w UMCS nowy sposób utwardzania żywic epoksydowych zwniolił Zakłady Wytwórcze Aparatury Wysokiego Napięcia w Warszawie z konieczności importu potrzebnych przed tym materiałach, wpisując dodatkowo po stronie aktywów przedsiębiorstwa 6 mln zł rocznie. Z nowatorskich rozwiązań naukowców UMCS korzysta kilka innych zakładów produkcyjnych kraju.

Nie ulega wątpliwości: instytuty matematyczno-przyrodnicze UMCS poprzez ogólne ukierunkowanie problematyki naukowo-badawczej i podejmowanie konkretnych zagadnień z pola uwagi np. przemysłu są mocno zakorzenione w naszej gospodarce i uczestniczą w jej rozwoju. Oferując konkretne wartości swym partnerom, które obniżają koszt produkcji i podnoszą jakość wyrobów, same również korzystają na tym mariażu: uzyskują dodatkowe środki finansowe oraz urządzenia i aparaturę, których nigdy za dużo uczelnia nie posiadała.

Na marginesie przypomnijmy jednak, że otwarcie się jakiegokolwiek szkoły akademickiej w stronę gospodarki posiada pewne granice, za którymi leży ziemia jałowa z szyldem: „Zakład usługowy; dawniej uczelnia...”. Przekroczenie owych granic grozi zaniedbaniem badań naukowych sensu stricto i obniżeniem poziomu nauczania studentów, ostatecznie degradując ośrodek intelektualny i kulturotwórczy (uniwersytet) do rzędu nijakich instytucji, pozbawionych tego szczególnego autorytetu w społeczeństwie, który umożliwia ludziom budowanie indywidualnych i zbiorowych systemów wartości.

Gratulując zatem pierwszej uczelni Polskiej Ludowej ścisłego, a nade wszystkim mądrego związku z życiem społeczno-gospodarczym, nie oczekujemy od UMCS realizacji takich zadań i problemów, które z natury rzeczy po winny rozwiązywać inne instytucje. Uniwersytet przyjmuje na ogół zlecenia na takie prace, które merytorycznie korespondują z własną problematyką naukowo-badawczą poszczególnych instytutów. I to jest właśnie sytuacja prawidłowa.

A jak kształtuje się społeczna obecność kierunków humanistycznych, utworzonych w UMCS nieco później, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych? Do tego tematu jeszcze wrócimy.

Ireneusz J. Kamiński

W publikacji wykorzystano informacje zawarte m.in. w artykule Kazimierza Sykuta i Grażyny Butrym „Nauki matematyczno-przyrodnicze” przygotowanym dla okolicznościowego wydawnictwa UMCS.

# NASZ UNIWERSYTET

ki i domy mieszkalne pracowników UMCS i innych uczelni, budynek rektoratu (16 kondygnacji — najwyższy w Lublinie, akademicka przychodnia zdrowia, ośrodek sportowy z krytą pływalnią oraz większość obiektów szóstego wydziału uczelni: Prawa i Administracji, Matematyki, Fizyki i Chemii, Biologii i Nauk o Ziemi, Ekonomicznego, Humanistycznego, Pedagogiki i Psychologii (którego główna siedziba znajduje się 1500 m od opisanego centrum UMCS, przy ul. Narutowicza). Poza dzielnicą uniwersytecką ulokował się ponadto Międzyuczelniany Instytut Nauk Politycznych, gospodarzący w dawnej siedzibie organu prasowego PKWN, „Rzeczypospolitej”. Powierzchnia użytkowa wszystkich obiektów UMCS sięga 160 tys. m kw. Niemal w centrum skatalogowanej tu dzielnicy widnieją okazały pomnik Marii Curie-Skłodowskiej autorstwa Mariana Koniecznego, odsłonięty 23 października 1964 roku.

Nie ulega wątpliwości: pod względem przestrzennym, architektoniczno-urbanistycznym, dzielnicą uniwersytecka wyraźnie wyodrębnia się w panoramie miasta. Stanowiąc zespół w pewnym sensie autonomiczny, nie jest przecież izolowana od reszty Lublina — dzięki trasom komunikacyjnym biegnącym przez jej teren i osiedlom mieszkaniowym, które ją otaczają. A pomyśleć, że przed laty podważano lokalizację tego zespołu, uzasadniając sprzeciw znacznym oddaleniem projektowanej dzielnicy od śródmieścia!

Na 29 kierunkach studiów — dziennych, zaocznych, wieczorowych i podyplomowych — kształci się obecnie w UMCS ponad 15 tys. osób, korzystających z wiedzy i pomocy 3341 pracowników uczelni, z czego 172 to profesoria i docenci. Poza Lublinem Uniwersytet posiada swoją filię w Rzeszowie i punkty konsultacyjne w Dęblinie, Międzyrzeczu Podlaskim, Jarosławiu, Radomiu, Stalowej Woli i Zamósćcu.

Mamy zatem do czynienia z organizmem rozwiniętym, o znacznym, można przypuszczać, potencjale twórczym. Co daje on społeczeństwu?

Odpowiedź na to pytanie wydaje się prosta, bo już w pierwszym odruchu język układa się do zacytowania liczby owych 29 000 absolwentów UMCS, którzy pracują w różnych instytucjach i zakładach produkcyjnych całego kraju. W samym makroregionie lubelskim nie ma chyba przedsiębiorstwa, komitetu partii, organu władzy administracyjnej czy placówki oświatowej lub kulturalnej większej od klubu wiejskiego, nie ma obszaru życia i pracy zbiorowej, w którym nie spotkałoby się dyplomanta Uniwersytetu. UMCS jako poważny ośrodek kształcenia kadr dla gospodarki narodowej — w tym względnie rola i zasługi naszej uczelni są niepodważalne.

Na wstępie niespodzianka: już w latach czterdziestych geografowie Uniwersytetu podjęli badania fizjograficzne m. in. wybrzeża Wisły na odcinku między Sandomierzem a Kazimierzem Dolnym, tym samym antycypując jakby sformułowany niedawno program rządowy zagospodarowania naszej wielkiej rzeki na lata 1981—1985.

W późniejszym okresie współpraca z gospodarką narodową przyjęła formę stałego elementu polityki uniwersyteckiej. Geografowie, chemicy, fizycy, a następnie matematycy, biologowie, mikrobiolodzy i biochemicy wykonali wiele analiz, ekspertyz, opracowań projektowych dla zakładów przemysłowych, rad narodowych, kolejnictwa, sądownictwa, poczty, szkolnictwa, biur projektowych i innych instytucji. Osoby ceniące sobie wypoczynek nad wodą i zdrowe powietrze lasu warto też poinformować, że to właśnie z inicjatywy Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UMCS (konkretnie: Kazimierza Bryńskiego) powstał Zalew Zemborzycy pod Lublinem oraz Roztoczański Park Narodowy. Wtedy też w katedrach geografii opracowano projekty zagospodarowania torfowisk lubelszczyzny i strefy kanału Wieprz—Krzna, mające na celu zwiększenie naturalnego magazynu paszy dla bydła. Innego rodzaju osiągnięciem, przydatnym w polityce rolnej, okazał się „Atlas użytkowania ziemi w Polsce”, demonstrowany zresztą w 1956 roku na Międzynarodowym Kongresie Unii Geograficznej w Rio de Janeiro. Dodajmy przy okazji, że kontakty zagraniczne UMCS były wtedy dość ograniczone; za jeden z pierwszych i szczególnie ważnych wypadów uznać nawiązanie współpracy ze Zjednoczonym Instytutem Badań Jądrowych w Dubnej pod Moskwą przez Katedrę Fizyki Jądrowej Uniwersytetu.

Prace na rzecz gospodarki społecznej przynosiły zarazem spore korzyści samej uczelni, czego namacalnym dowodem finansowanie budowy gmachu tzw. dużej chemii przez Zakłady Azotowe w Puławach.

Rozwój UMCS po roku 1970 — podwojenie liczby studentów, zwiększenie się kadry naukowej, bazy lokalowej i aparatury — miał istotny wpływ na dynamikę działalności naukowo-badawczej i współpracy z gospodarką. Stymulującą rolę odegrały w tej sferze także decyzje rządowe, ujmujące prace szkół wyższych w planach koordynowanych centralnie.

W 1978 roku UMCS zrealizował 5 tematów rządowych, 58 węzłowych, 42 międzyresortowe, 5 resortowych, 4 resortowo-branżowe, 23 Polskiej Akademii Nauk i 104 na zlecenie jednostek gospodarki uspołecznionej. Wartość sprzedanych efektów tych prac wyniosła 55,5 mln zł. Niejako po drodze uczelnia uzyskała 106 patentów (na 195 zgłoszonych), co stawia ją na

wiska przyrodniczego dla potrzeb Lubelskiego Zagłębia Węglowego i aglomeracji lubelskiej; rozpoznanie rynku pracy na Lubelszczyźnie w latach 1976—1980 pod kątem potrzeb LZW; opublikowany „Atlas klimatyczny województwa lubelskiego”; wiodące w skali krajowej badania geograficzne nad wpływem gospodarki na stosunki wodne; syntezę geograficzną wykorzystania możliwości rekreacyjnych Lubelszczyzny; wpływ chemizacji i zanieczyszczeń przemysłowych na środowisko glebowe... Szczególną pozycję zajmował w tym instytucie Franciszek Uhorczak: wybitny uczyony, twórca lubelskiej szkoły kartograficznej.

Istniejący w ramach Instytutu Matematyki Zakład Metod Numerycznych, wyposażony w system cyfrowy R-32 i dwa komputery „Odra — 1204”, a kierowany przez S. Ząbkę — wykonuje złożone obliczenia na zlecenie wielu instytucji makroregionu. Wspomnijmy, że lubelski ośrodek matematyczny dorobił się niezłej opinii także za granicą. Na recenzentów w „Mathematical Reviews” powołano Kazimierza Goebła, Jana Krzyżę, Konstantego Radiszewskiego i Eligiusza Złotkiewicza, a w „Zentralblatt für die Fortschritte der Mathematik” — Jana Stankiewicza, Dominika Szynala i Józefa Waniurskiego.

Istniejący w obrębie Instytutu Fizyki — który współpracuje z Dubną, Amsterdamem, Ann Arbor (USA) i Montrealem — Zespół Fizyki Stosowanej rozwija pod kierunkiem Bogdana Adamczyka system „echo”, stosowany z dobrym skutkiem w leczeniu jąkania. Natomiast Zespół Fizyki Ciała Stałego (Mieczysław Subotowicz i współpracownicy) osiągnął interesujące rezultaty w badaniach cienkich warstw półmetali i innych materiałów o szerokich możliwościach zastosowań.

Najbardziej rozbudowany, bo liczący aż 18 zespołów, Instytut Chemii realizuje niemal połowę tzw. przerobu uczelni w zakresie prac zamówionych i posiada 95 proc. patentów uzyskanych przez UMCS. Pamiętajmy jeszcze wielki i uzasadniony rozgłos, jaki towarzyszył opracowaniu otrzymywania włókien światłowodowych rewolucjonizujących m. in. telekomunikację, przez zespół: Andrzej Waksmundzki, Andrzej Gorgol, Jan Wójcik, Władysław Demidziuk. Rozwiązanie to okazało się pierwszym w obrębie krajów socjalistycznych.

Poważne osiągnięcia posiadają również inne zespoły instytutu, np. kierowany przez Kazimierza Sykuta, który z kilkoma współpracownikami badał określony problem i skonstruował 10 nowych typów elektrod jonowo-selektywnych. „Nowe i oryginalne metody rozdzielania i oczyszczania pierwiastków ziem rzadkich” to z kolei temat zrealizowany przez zespół Włodzimierza Hubickiego i wpisany do „Księgi czynów i osiągnięć nauki polskiej”. Paten-

## Z DOKUMENTÓW

### FOTOKOŁ Z POSIEDZENIA PKWN LUBLIN 23 X 1944 R.

Na posiedzeniu przedstawiono projekt dekretu ustanawiającego wyższą uczelnię w Lublinie. Dyskusja dotyczyła spraw organizacyjnych, rodzaju (instytut, akademia czy uniwersytet), siedziby (Lublin czy inne miasto Polski), możliwości (finansowych i lokalowych), roli oraz nazwy nowej uczelni. Protokół drukujemy w skrócie (Red.)

Przewodniczący: Ob. (Edward) Osóbka-Morawski.

Obecni: ob. ob. (Stanisław) Janusz, (Stanisław) Skrzyszewski, (Jan) Czechowski, (Stanisław) Radkiewicz, (Emil) Sommerstein, (Jan) Stefan Haneman, (Wincenty) Rzymowski, (Bolesław) Drobner, gen. (Zygmunt) Berling, (Karol) Popiel, Michał Schuldenfrei, (Stefan) Matuszewski, (Henryk) Raabe, (Stanisław) Bieniek, (Edward) Bertold, (Adam) Ostrowski, (Leon) Chajna, (Jan Karol) Wende.

Porządek dzienny:

1. Uchwalenie dekretów.
2. Różne.

Ob. Morawski otwiera posiedzenie, udzielając głosu ob. Skrzyszewskiemu celem zreferowania dekretu o utworzeniu Akademii Lubelskiej.

Ob. Skrzyszewski: W tej chwili na wyzwolonym terytorium nie mamy żadnej szkoły wyższej typu akademickiego. W odrodzonej Polsce sieć szkół wyższych — uniwersyteckich powinna być znacznie rozszerzona w stosunku do tego, co było we wrześniu 1939 r. Uwzględniając te momenty, jak również życzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej, która w specjalnej uchwale prosi Resort Oświaty o powołanie w Lublinie wyższej szkoły akademickiej, wnosimy dzisiaj i prosimy o uchwalenie dekretu następującej treści:

(Następuje odczytanie dekretu).

Jeżeli panowie zechcą zapoznać się szczegółowo z obliczem naukowym twórczej się Akademii, to prosilibym o udzielenie głosu przewidzianemu przez dekretowi Uniwersytetu, prof. ...

Przewodniczący: Projekt założenia Uniwersytetu powstał z inicjatywy ob. Morawskiego i kierownika Resortu Oświaty dr. Skrzyszewskiego. Charakter planowanej uczelni zmieniał się w ciągu tych kilku tygodni. Początkowo mieliśmy zamiar założyć coś w rodzaju instytutu naukowego, któryby miał wydział lekarski i przyrodniczy [...] Ponieważ zwróciły się do nas siły rolnicze z prośbą uwzględnienia potrzeb instytucji rolniczych, doszliśmy do wniosku, że skoro istnieje wydział przyrodniczy, w oparciu o niego można również tworzyć pierwszy rok wydziału rolniczego. Podobnie i wydział weterynarii można będzie zorganizować. Chcemy więc stworzyć nie instytut, a uniwersytet z czterema wydziałami.

Co do poczynionych przygotowań wezwaliśmy wszystkich pracowników naukowych, by zgłosili się do Wydziału Szkół Wyższych. Zaznaczyć należy, że nie mamy dużo sił profesorskich, któreby na tej części Polski się znajdowały.

W dalszym ciągu swego przemówienia prof. Raabe informuje w sprawie sił profesorskich i obsady poszczególnych katedr.

Chcę tu podnieść jedną kwestię — płace profesorskie i asystenckie są oparte na tworzącej się ustawie urzędniczej. W związku z tym prosilibym Komitet o stworzenie odpowiednich materialnych warunków

dla grona profesorskiego, by nie potrzebowali oni (tj. profesorowie) uciekać się do zarobków postronnych i mogli w spokoju poświęcić się swojej pracy.

Uniwersytet nasz ma na razie ułokować się w gmachu gimnazjum przy al. Racławickich. Każdy wydział ma otrzymać po trzy pokoje.

Stworzyliśmy Komitet Opieki nad Akademią, w skład jego weszli: ob. ob. (dr Stanisław) Skrzyszewski, (dr Bolesław) Drobner, (prof. dr Sergiusz) Siengalewicz i dwóch lekarzy miejscowych.

Ob. Morawski udziela głosu ob. Ostrowskiemu.

Ob. Ostrowski: Uniwersytety tworzy się rzadko, raz na setki lat, dlatego celowym byłoby poświęcić więcej uwagi temu zagadnieniu. Wydaje mi się, że ci, którzy zajęli się inicjatywą tworzenia wyższej uczelni, zapomnieli o nadaniu nazwy tworzącemu się uniwersytetowi. Wszystkie szkoły akademickie w Polsce, z wyjątkiem Uniwersytetu Poznańskiego, miały swoje nazwy.

## U ŹRÓDEŁ UMCS

W związku z tym byłoby wskazane nawiązać do tej tradycji i przez nadanie odpowiedniej nazwy podkreślić wagę Uniwersytetu. Proponuję nazwę Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej, (co) podkreśli przyrodniczy charakter uczelni. [...]

Ob. Drobner: Byłem zwolennikiem utworzenia jedynie Akademii Medycyny, dla której mamy odpowiednią siłę profesorską i możliwość korzystania ze szpitali. Nie wyobrażam sobie natomiast urzędnika wydziału chemicznego w trzech pokojach, gdzie jeden pokój będzie na gabinet profesora i stół laboratoryjny, drugi dla asystenta, a trzeci będzie pokojem badań laboratoryjnych. W takich warunkach z tworzeniem czterech wydziałów należy raczej poczekać. W odniesieniu do rolnictwa: mamy wspaniały Instytut w Puławach, co prawda dziś zrujnowany, ale nadający się do naprawy i na nim powinniśmy się oprzeć.

Ob. Sommerstein: Trudno jest tworzyć rzeczy doskonale. Na razie musimy ograniczyć się do tego, co jest konieczne. Pilną jest sprawa lekarzy medycyny, dlatego tworzymy Akademię Medycyny.

Ob. Morawski: Jestem odmiennego zdania od przedmówców, którzy chcieli zmniejszyć zakres proponowanej wyższej szkoły w Lublinie. Argumenty o małym pomieszczeniu nie przekonują mnie. Stworzenie w Lublinie placówki o poziomie wyższym i szerszym rozmachu naukowym jest konieczne z dwóch względów: 1) planujemy, by w każdym mieście wojewódzkim była wyższa szkoła o kilku kierunkach. W odniesieniu do Lublina musimy podkreślić tradycyjny moment, że miasto to było ośrodkiem Rządu Ludowego 1918 roku, jak również i obecnie; 2) w Lublinie i okolicach powinniśmy rozwinąć ośrodki przemysłowe i ośrodki kulturalne. [...]

Ob. Janusz: Miasto Lublin odgrywa drugi raz taką rolę dziejową, gdzie najszersze masy biorą udział w kształtowaniu ustroju i życia społecznego. Chciałbym, żeby te jak najszersze warstwy ludności miały możliwość skorzystania z tego prawa do nauki i dlatego nie godzę się z ograniczeniem zakresu działalności uniwersytetu.

General Berling: Jeżeli zostanie taka wielka na papierze uczelnia, z której będą chciały korzystać wielkie rzesze młodzieży, to możemy w zupełności zawieść ich nadzieje, bowiem nie otrzymają oni tu tego, po

co do szkoły przyszł. Boję się, że przystępujemy do roboty, o której z góry możemy powiedzieć, że jest nie do wykonania. Należy więc liczyć się z możliwościami.

Ob. Ostrowski: Przychyłam się do tego, o czym mówił ob. Drobner i gen. Berling. Profesorowie uniwersytetu są specjalnie wrażliwi na urządzenia uniwersytetu i jeżeli Akademia nie będzie posiadała odpowiednich warunków do pracy, to profesorowie będą przenosić się do innych uniwersytetów. Wydaje mi się, że lepiej ograniczyć się do Akademii Medycyny i dopiero później rozwinąć zakres działania tej uczelni.

Ob. Skrzyszewski: Jak wynika z dyskusji, kierownik Resortu Oświaty i przewidziany rektor Akademii Lubelskiej to są ci, którzy chcieliby rozdać sztucznie wielkość Akademii a wszyscy inni — to są obrońcy poziomu nauki. Tu jest cały szereg nieporozumień. My traktujemy tworzącą się Akademię jako uczelnię w rozwoju, która w pierwszym roku i w ciągu pięciu lat będzie się dorabiała pewnego poziomu. Stworzymy tyle, na wiele nas będzie stać i uważam, że lepiej stworzyć mniej, niż nie stworzyć.

Ob. Matuszewski: (...) Zdaję sobie sprawę z tego, że powstający uniwersytet państwowy będzie musiał na razie walczyć z olbrzymimi trudnościami.

Ale wiadomo, że Maria Curie-Skłodowska też zaczynała od szopy, dlatego nie należy zrażać się brakiem odpowiednich na razie warunków.

Prof. Raabe: Olbrzymią wartością polityczną będzie stworzenie ośrodka kultury w postaci uniwersytetu, położonego na granicy etnograficznej Polski.

Ob. Rzymowski jest za stworzeniem uniwersytetu, wychodząc z tego założenia, że gdy się zbierze zespół ludzi, w których tkwią wielkie dążenia badawcze, to pokonują oni wszelkie trudności.

Ob. Skrzyszewski w sprawie nadania nazwy uniwersytetowi proponuje nazwę ogólną, aby w ramach instytutu w przyszłości zmieścił się wydział spółdzielczy czy też filozoficzny.

Ob. Morawski uważa, że odpowiedniejszą nazwą będzie: Marii Curie-Skłodowskiej ze względu na popularność tego nazwiska, na całym świecie.

Ob. Skrzyszewski proponuje dodanie do nazwy Uniwersytetu przyimiotnika „Państwowa”, w odróżnieniu od Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Ob. Rzymowski: Kiedy dajemy nazwisko Marii Curie-Skłodowskiej na nazwę Uniwersytetu, to rozumieć, że zespół ludzi tam pracujących dziedzieli również ten pęd do pracy, jaki miała wielka badaczka (...) Uniwersytet nie od razu przybiera zaszczyt i nazwę. Nie narodziliśmy się również ze swoją nauką dzisiaj. Wszyscy ci, którzy obejmują katedry, mają tradycję pracy w polskich uniwersytetach, którzy po akcie chwilowej przemocy wracają na swoje odcinki pracy.

Dlaczego chcemy dać nazwę Marii Curie-Skłodowskiej? Nie dlatego, że mamy zamiar jedynie kontynuować nauki przyrodnicze — Maria Curie-Skłodowska była również symbolem humanistycznej wolnej duszy.

Ob. Morawski zarządza głosowanie nad przyjęciem nazwy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Przyjęto (ją) jednomyślnie. Następnie zostaje zarządzone głosowanie za dekretem z poprawkami formalnymi.

Dekret o utworzeniu wyższej uczelni w Lublinie z nazwą Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie zostaje uchwalony.

Ob. Skrzyszewski: (...) Wydaje mi się, że ten moment, który dziś przeżywamy, trzeba w jakiś sposób uczcić — zewnątrz. Z polecenia przewodniczącego, ob. Morawskiego, wydany będzie bankiet dla przyszłych profesorów i rektora Uniwersytetu. W imieniu Resortu Oświaty urzędnikiem prosię wszystkich członków Komitetu i zastępców kierowników resortów, ażeby łaskawie wzięli udział w tej uroczystości.

Ob. Morawski: W związku z uroczystością otwarcia Uniwersytetu zorganizujemy spotkanie z inteligencją lubelską...

Protokółował Jaczun

## Studenci i dzieci

Dokończenie ze str. 1

zawsze". On się nie chciał zgodzić na rozwód. Rozkochał się na nowo? Raczej kosztą rozwodu przekraczały możliwości studenckiej kieszeni. Koleżanki z akademika miały rację — może znają lepiej jej życie niż on, który z mamusińskiego mieszkania przychodził czasami, nieregularnie, by odwiedzić żonę i dziecko? Jadwiga pozostała przy tej racji i przy swej decyzji. Po studiach razem z dzieckiem wyjechała z Lublina.

Z prawdziwej opowieści, inaczej niż z bajki, może nie wynikać żaden morał, ale z tej jednak wynika. Mianowicie, że małżeństwo stanowi dla studentów luksus i nie zawsze są oni świadomi faktu, że ich nań nie stać. Życie w swej różnorodności przeczy niejednemu moralowi, ale to nie znaczy, że życie ma rację.

Przed kilkoma laty para studentów zawierających małżeństwo musiała znajdować oparcie w luksusach, lub przynajmniej wygodach konkretnych, materialnych. Były nimi, od zgody rodziców począwszy, pieniądze na utrzymanie dziecka — które z reguły rozdziło się przed upływem trzech kwartałów od ślubu — oraz mieszkanie poza akademikiem, więc stancja lub pokój przy rodzicach. Niezwykle rzadko było to mieszkanie zafundowane przez uszczęśliwionych ojców i mamy. Para małżeńska szukała musiała oparcia poza uczelnią, gdyż nie było możliwości wspólnego życia w domu studenckim. Przepisy pozwalały jedynie na odwiedzin ograniczonych w czasie, bez względu na to, czy do dziewczyny przychodził mąż, czy kolega. Nie przewidywano specjalnych stypendiów, ani innych pomocy. Przed pięcioma jeszcze laty rektorzy uczelni w kraju nie przypuszczali, że nurtować ich będzie problem: gdzie, kiedy i za co budować żłobki dla niemowlaków studenckich małżeństw.

Przed laty do modelu codzienności akademickiej tak bardzo nie pasowała możliwość związku małżeńskiego i istnienia wspólnych spraw dwojga studentów, zwłaszcza tych intymnych, osobistych — życie erotyczne, zamieszkiwanie we dwoje, wychowywanie dziecka itd. — że pracownicy administracji DS-ów czuli się w obowiązku stać na straży moralności studentów — dorosłych przecież ludzi. Zresztą nie tylko administracje DS-ów ingerowały w ich życie osobiste.

Alicja Pochroń pracuje od jedenastu lat w administracji DS-ów i wspomina, jak to przed dziesięciu laty chłopak nie mógł wejść do dziewczyny nie zostawiając dowodu osobistego w portierni. Maruderów, którzy nie opuszczali pokoi o godz. 22, wypłaszano portierki dzwonkami, telefonami lub osobiście; czasem wkraczała Rada Mieszkańców.

— To nie te czasy, teraz jest to nie do pomyślenia — powiada. — Nikt nie jest w stanie skontrolować, co się dzieje w pokojach. Od momentu korekty w akademikach dawne zasady wzięły w łeb. Nie zaakceptowałam i nie zaakceptuję nowych praw. Osobiście mi nie odpowiadają.

Są to zrozumiałe rozterki, ale pozostaną nierozwiązane, gdyż pani Alicja i inni kierownicy DS-ów muszą zgodzić się nie tylko na mężczyzn w pokojach kobiet, ale również na współmałżonków i dzieci. W bloku H mieszkało w ubiegłym roku blisko siedemdziesiąt małżeństw. W tym roku będzie ich więcej. A przypomnieć trzeba dawne zamysły przy planowaniu tego najnowszego akademika, przeznaczającego go wyłącznie dla małżeństw studenckich.

Kierowniczka owego bloku — a nie jest on jedynym na terenie uniwersyteckich miasteczek Lublina z wydzielonymi pokojami dla małżeństw — nie ubolewa z powodu rozwiązłości obyczajów.

— Biorąc pod uwagę ich wiek, najlepszy do miłości, to kiedy mają się zenić? — pyta retorycznie.

Możliwe zatem, że administracje domów studenckich rozumiejąc stronę etyczną zjawiska, nie akceptują „estetycznej”. Bo np. w takim H-bloku — ekskluzywnym, pokoje 2- i 3-osobowe, wyposażenie caczusko, jak na nasze warunki, w ogóle elegancja — od ubiegłego roku na korytarzach suszą się pieluszki, zimą na wszystkich kaloryferach. Wystarczy, że jedna mama upierze 30 pieluch i robi się włoska uliczka. O blasku pasty na podłodze można tylko marzyć. Kuchenki zabrudzone przypalonym mlekiem z kaszą. Przed drzwiami na korytarzach wystawione wózki. Wszystko dlatego, że nie ma suszarni, a wózki nie mieszczą się z łóżeczkami w ciasnych „dwójkach”. Na szczęście wzrosła kultura używania wind: rzadziej się psują, bo wszyscy dbają, żeby mamy nie biegaly z maluchami na wysokie piętra.

W ubiegłym roku w październiku kierowniczka powiedziała na wstępie:

— Dobrze, mogą być małżeństwa, ale nie chcę słyszeć żadnych skarg i nie chcę wiedzieć o nieporozumieniach.

Miała na myśli pretensje bezdzietnych sąsiadów na całonocne płacze niemowlaków, a także pretensje o specjalne względy dla małżeństw. Na przykład sprawa elektrycznych grzejników zimą: gdy paliła się przeciążona instalacja, bo w budynku było zimno, jak w psiarni, i ogrzewano pokoje elektrycznością, postanowiono zostawić grzejniki tylko tam, gdzie mieszkały dzieci. I nikt nie protestował.

Wprawdzie przybyła nowa okazja do wypicia butelki wina, urodziny dziecka, ale tego rodzaju opijanie trwa krócej niż inne i mniej hałaśliwie. Zrozumiałe. Korzystne.

Rozlokowanie kilku małżeństw na jednym piętrze to ułatwienie dla rodziców. Kiedy oboje muszą wyjść na wykłady, zawsze znajdzie się taka mama, która ma akurat wolne. Przygaranie jedno lub kilkoro małżeństw. Czasami angażują się koleżanki niezamężne i bezdzietne. Dobra szkoła życia. Ale niektórzy mówią: „W kukulki się bawią”.

krzesła i szafy, a naliczyły przy okazji ze trzydziestkę dzieciaków. Prawdę mówiąc maluchy mieszkają nielegalnie. Nie wydano zezwolenia na ich wprowadzanie, ale i nie zabrania się. Nie te czasy, że małżeństwo, jak przed kilku laty, podpisywało oświadczenie, że wie, iż z dziećmi zabrania się mieszkać.

Rok temu do pokoju administracji wszedł student z niemowlęciem na ręku.

— A kto tu pana zapraszał z dzieckiem? — zapytała kierowniczka.

— A co miałem zrobić? — zapytał student.

No i co odpowiedzieć? Nic, koniec tematu. Wszystkie dzieci są nasze.

Tak się porobiło, że małżeństwo chcące otrzymać pokój w akademiku pisze w podaniu, że ona jest w ciąży, choć to nieprawda.

W minionym roku akademickim był wyż małżeński. Tak ocenili studenci. Dokładne liczby są nieznanne, ale to się widziało.

— Od tego się nie ucieknie — mówi żonaty człowiek z czwartego roku Akademii Rolniczej. — Nie można już wstecznymi przepisami stymulować drogi życiowej tysięcy studentów. Student to „instytucja” myśląca i nie mu się nie zabroni.

Mam wrażenie słuchając tych słów, że brać akademicka całe lata o niczym nie myślała, tylko by się żenić. I wreszcie przyszły czasy, że idee wcielono w czyn. Zgadza się natomiast ze stanowiskiem tego człowieka, gdy mówi:

— Powinno się krytykować takich, co nie mają dziecka ze sobą w akademiku. Ten pierwszy okres w wychowaniu jest najważniejszy.

— Skąd wiesz?

— Czytałem.

— Zona ci podsunęła lekturę? Broszurkę?

— Być może, nie pamiętam.

Niemowlęta w akademikach mieszkają krótko. Z reguły, bo są wyjątki, przejmują je babacie. W najlepszym wypadku dzieciak wożony jest w tę i

ceremonii rozwiązuje jednak dawny dylemat: alimenty czy skrobanka?

— Chłopak, który bierze ślub na drugim roku studiów, nie zdąży się nastudować — mówił ów żonaty student IV roku AR.

Co znaczy po prostu: wyszumieć. Dziewczęta kombinują inaczej. Mój rozmówca powiada:

— Nie chcę brzydko mówić o koleżankach, ale te niezamężne na IV i V roku dostają kota. Szukają kandydatów na mężów gwałtownie. Aż przykró patrzeć na takie szaleństwo.

Anegdota: matka córce zrobiła awanturę, gdy ta pokazała dyplom wyższej uczelni: „Nie po to cię wysłałam na studia, żebyś mi dyplom przywoziła. Gdzie mąż?”

lacje przychodzą częściej jako konsekwencje małżeństwa, rzadko bywa odwrotnie. Ktoś powie: miłość nie potrzebuje kalkulacji. Ba, miłość...

Nieoficjalne stanowisko jednego z kierowników, usłyszane na korytarzu w rektoracie:

— Prywatnie powiem tak: uczelnia pomaga małżeństwom, ale po cichu to nie pochwała.

Doc. dr hab. Zdzisław Ilczuk, prorektor UMCS do spraw młodzieży jest zdziwiony:

— Po raz pierwszy słyszę o podobnym stanowisku. Uczelnia nie reaguje w tak nieszczerzy sposób: akceptować, ale zachowywać rezerwę. Udzielamy



małżeństwom pomocy największej na jaką nas stać. Z roku na rok przydzielamy więcej miejsc w akademikach. W tym roku sto. To dużo jak na skromne możliwości. Młodzież sama reguluje większość spraw, np. w kompetencji Rad Uczelnianych SZSP leży przydział mieszkań. Jeśli człowiek jest w stanie pogodzić obowiązki studenta z małżeńskimi, to nie mamy powodów, by wyrażać negatywne stanowisko. Często trudności wynikłe np. z faktu wychowywania dzieci są dla nas usprawiedliwieniem przy trudnościach w nauce.

— Nie zawsze uczelnia miała podobne liberalne stanowisko.

— To są sprawy, które już dawno należą do przeszłości. Młodzież sama uznala problem małżeństwa w okresie studiów za ważny dla siebie. My mamy tę nadzieję, że w przyszłości w większym stopniu zaspokoimy ich potrzeby, jeśli chodzi o mieszkania a nawet żłobki.

— No a dzieci w akademikach? Te wszystkie łóżeczka, wózki, pieluchy. Kiedyś było to nie do pomyślenia. A poza tym nie wyrażono oficjalnie pozwolenia na zamieszkiwanie z dziećmi.

— Cóż, czasy się zmieniają. Przepisy mówią o pomocy dla matek i nie ma mowy o złej woli czy przemilczeniu sprawy dzieci studenckich małżeństw. A jeśli nawet nie ma wszystkich przepisów administracyjnych to dlatego, iż rzecz została zwyczajowo przyjęta i zyskała akceptację pozostałych studentów. Małżeństwa, dzieci — to już dla nas chleb powszedni. Trudności i napięcia występują jedynie z niepełnego zaspokojenia przez uczelnię wszystkich potrzeb.

Potrzeby, potrzeby, potrzeby — rosną, a więc trzeba je zaspokajać. Normalne. Ale skąd się bierze wśród studentów potrzeba małżeństwa? Być może zaprezentowane stanowiska powinny wystarczyć mi na odpowiedź. Jednak nie wystarczają. Nadal mam wrażenie, że większość studentów zmusza ślubnym aktem urzędowym innych, zamiast siebie, do rozwiązywania potrzeb odpowiedzialności, utrzymania samemu rodziny, rozumienia problemów małżeńskich i rodzicielskich, stałości uczuć — tego, co człowiek musi zdobywać potem przez długie życie, nie zawieszane już pomiędzy świadectwem maturalnym a dyplomem magisterskim.

Bronisław Kowalski

Kamena str. 5



Fot. Michał Sroka

Czasami studentów nie stać na łóżeczko. Wtedy trzyma się niemowlaka w torbie turystycznej. W czasie sesji maluch zażywa „spacerów”, wystawiony w tejsze torbie na parapet okna. Ale tak było dawniej, gdy nie weszły w życie przepisy o dodatkowych zapomogach i stypendiach. Teraz stać niektórych nawet na wynajmowanie niani do dziecka. Ale nie stać jeszcze na placenie za stancję ok. 3 tys. zł, a tyle żąda się w mieście od małżeństw. I dlatego wszyscy składają podania o pokój w akademiku.

Obecność dzieci w DS-H wyszła na jaw przy okazji inwentaryzacji sprzętów w listopadzie w ubiegłym roku. Panie z administracji poszły liczyć

z powrotem. Na przykład: piątek, sobota, niedziela — w akademiku z rodzicami, od poniedziałku znów u babci. I tak do końca studiów. Jeśli on lub ona mają rodziców w Lublinie lub blisko. W innym przypadku dzieciak ląduje na długie miesiące u babci.

Wyż małżeński stwarza coraz więcej problemów, bo nie idzie równoległe wyż mieszkaniowy w akademikach. Obecna sytuacja przypomina atmosferę w krajach, gdzie zniesiono karę śmierci: najpierw liczba przestępstw wzrastała gwałtownie, a potem gwałtownie spadała. Koedukacja w akademikach rozpętała lawinę ślubów. Przyznać trzeba, że większość weselnych

Stanowisko męskie: żeby się wyszumieć, stanowisko kobiece: żeby znaleźć męża — narzucają przymus ślubom studenckim. Decyzji przemysłanych jest mało. Ale jeśli się pojawia myślenie to, przyznać trzeba, ma ono ręce i nogi. Bo przyszły magister szuka współmałżonka podobnego do siebie, czyli też magistra; a takiego trudno znaleźć, gdy się już pracuje; bo nie jest się wówczas młodzieniaszkiem; zaś we dwoje łatwiej znaleźć pracę, gdyż przedsiębiorstwa wolą małżeństwa, jako że stabilny układ, wreszcie — łatwiej dostać mieszkanie; no i na studiach większy wybór kandydatów do małżeństwa.

Faktem jest, że takie zdrowe kalku-

bara Ndiaye wzorem senegalskich eleganców zaplecione w dziesiątki cienkich warkoczyków, kunsztownie upiętych nad uszami.

Mieszają się języki: angielski, rosyjski, hiszpański, francuski, ale też z każdego prawie kąta dobiegają strzępy rozmów polskich. Oto Krzysztof Zanussi, obok niego bohater dzisiejszego wieczoru Krzysztof Kieślowski, dalej Jerzy Stuhr odtwarzający w „Amatorze” postać głównego bohatera, Daniel Olbrychski, Barbara Brylska w czarującym polyskującym kombinezonie, Jerzy Kawalerowicz, dyrektor Instytutu Kultury Polskiej — Jerzy Kossak, reżyser Bohdan Poręba, prezes Kola Młodych przy Stowarzyszeniu Filmow-

dal za „Ziemię obiecaną”; taki sam medal otrzymał wówczas film Akira Kurosawy „Dersu Uzala”. Czy uda nam się powtórzyć tamten sukces? Tegoroczna pierwsza nagroda będzie miała dodatkowy, „historyczny” wymiar: XI Festiwal Filmowy w Moskwie odbywa się wszak w 60 rocznicę narodzin kinematografii radzieckiej, a sam festiwal wkrocza właśnie w swoje trzecie dziesięciolecie istnienia...

Wśród jurorów wybitni reżyserzy: Otakar Vavra z Czechosłowacji, Jerzy Kawalerowicz z Polski, Giuseppe de Santis z Włoch, Christian-Jaque z Francji, Andrzej Michalkow-Koneczalowski z ZSRR. Jest także, tradycyjnie, odrębne jury międzynarodowej nagrody FIPRESCI i w nim zasiada jeszcze jeden Polak, red. Czesław Dondzillo z tygodnika „Film”.

**C**ZWARTY dzień XI Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Moskwie, 17 sierpnia 1979 r., można by określić jako „dzień polski”. Tak przynajmniej odczuwamy go my wszyscy, przybyli znowu do stolicy Kraju Rad członkowie oficjalnej polskiej delegacji, realizatorzy filmowi, obserwatorzy, krytycy i korespondenci. Dzisiejszego wieczoru w konkursie filmów fabularnych pokazany będzie „Amator” Krzysztofa Kieślowskiego. Jak zaprezentuje się na tle innych filmów, na tle nazwisk wielu reżyserów o światowym rozgłosie? Wczoraj ogromnym zainteresowaniem publiczności cieszyły się amerykańskie „Dzieci Sanchezów” z Anthony Quinem w roli głównej, jutro Juan Antonio Bardem przedstawi „Siedem dni w styczniu”, a dalej cychają następnymi pretendencjami do głównej nagrody: włoski „Chrystus zatrzymał się w Eboli” Francesco Rosi — obraz, który podobnie jak hiszpańskie „Siedem dni w styczniu” ma już pokazaną „dokumentację prasową” na świecie, radziecki „Wzlot” Sawwy Kullisza o Ciolkowskim z... Eugeniuszem Jewtuszenką w roli głównej, Francuzi wiążą duże nadzieje z „Psami” Alain Jessuay z Gerardem Depardieu. Festiwal dopiero się rozkręca, każdy z 35 zgłoszonych do konkursu filmów może przynieść zaskakujące zmiany w tabeli typowania...

W samo południe — przyjęcie w polskiej ambasadzie dla gości festiwalowych. Niedawno ukończony, nowy gmach ambasady mieszczący się przy ulicy Klimuszkina, już z zewnątrz robi doskonałe wrażenie. Zbudowano go z białoszarego piaskowca, ma bardzo nowoczesną „pawilonową” sylwetkę; niewysokie budynki otaczają pokryte świeżą zielenią wewnętrzny podwórzec-patio.

Na raut przybyło kilkaset zaproszonych osób. W różnorodnym tłumie co chwilę dostrzega się znaczące osobistości światowego kina. Wśród zagranicznych aktorek szczególną urodą wyróżnia się czarnoskóra piękność z Senegalu — Tabara Ndiaye, wchodząca w skład jury konkursu filmów fabularnych. Jej posagową figurę spowija lekka brązowa szata. Włosy ma Ta-

ców Polskich — reżyser Janusz Kijowski, który właśnie niedawno ukończył swój debiut fabularny „Kung-fu”...

Upływają dwie godziny: czas spotkań ludzi z różnych kontynentów, wymiany myśli i poglądów, odnawiania starych i nawiązywania nowych znajomości, utrwalania „dobrosąsiedzkich” kontaktów.

Jak wypadnie dzisiaj wieczorem „Amator”? Jeżeli spotka się z pozytywną oceną, 700 dziennikarzy z całego świata akredytowanych przy festiwalu przekaże tę wiadomość swoim agencjom; 150 przedstawicieli znanych firm dystrybucyjnych przybyłych na „film-market” — targi filmowe odbywające się przy festiwalu — zainteresuje się zakupem polskiego obrazu. Kolejny raz polskie kino przypomni o swym istnieniu... Przed czterema laty Andrzej Wajda odbierał w Moskwie Złoty Me-

Festiwal został otwarty 14 sierpnia, o godzinie 18-ej. Na wstępie przemówił przewodniczący Komitetu Organi-

Pokaz „Amatora” Krzysztofa Kieślowskiego przewidziany został na 17 sierpnia o godzinie 19.30. Na festiwalowej „gieldzie” ta data i godzina liczą

## Polskie akcenty Festiwalu

Mirosław Derecki

zacyjnego XI MFF, prezes przedsiębiorstwa „Goskino”, F. Jermasz; odczytano list nadesłany przez Leonida Breżniewa. Przywódca radziecki podkreśla w nim głęboką potrzebę, znaczenie i rolę kina we współczesnym świecie, jego możliwości w propagowaniu pokoju, zapobiegania wojnie, zbliżeniu między narodami, kształtowaniu świadomości społecznej... Pokazy filmowe zainaugurowała projekcja niedokończony kiedyś przez Sergiusza Eisensteina „Que viva Mexico!” zmontowanego niedawno przez radzieckich filmowców z taśm spoczywających przez szereg lat w archiwach amerykańskich. 15 sierpnia we wczesnych godzinach popołudniowych rozpoczęły się przeglądy konkursowe. Od tej pory 14-osobowe jury pod przewodnictwem radzieckiego reżysera Stanisława Rostockiego feruje wyroki.

się jako bardzo korzystne: jury oraz publiczność nie są jeszcze zmęczone wielką liczbą obejrzanych filmów, pokaz idzie jako „pierwszy wieczorny”; po przerwie popołudniowej widzowie są wypoczęci, można liczyć na stu-procentową frekwencję.

Na kilkanaście minut przed rozpoczęciem seansu tkwimy już w zapelniającej się sali projekcyjnej: Wielkiej Sali Koncertowej (3000 miejsc) znajdującej się w hotelu „Rossija”. W tym właśnie hotelu są kwatery uczestników festiwalu i tutaj odbywa się większość przeglądów konkursowych. „Rossija” jest wymarzoną miejscem dla tego rodzaju imprez. Usytuowana w samym sercu Moskwy, naprzeciwko Kremla, na terenie całego starego podgrodzia moskiewskiego zwanego Zariadim, zamyka perspektywę Placu Czerwonego. Jedenastopiętrowy, kolo-

Grażyna Piechnat

### PLOTKI

Rozkrzyczała się lawka gawiedzią  
coraz częściej dywanowe skargi  
trzepak jak bęben murzyński  
tam-tam  
śle w dal między bloki  
domy  
a tu znów stukocze  
segmentowy tunel  
— ja z gór!  
— ty dokąd?  
— babcia umarła...  
— maturo! ojej!  
legły w trawę moherowe kwadraty  
wiklinowymi koszalkami  
opalkami  
jeży się zielona sierść  
— baba czy dziad?  
— dziad czy baba?  
pośród dziecięcych wylizanek  
depcze maj czerwcowi  
kaczeńcowi-dmuchawcowi mlecz

### PEJZAŻ NADMORSKI

Przez pojęczyne nadmorskiej ciszy  
zieloną wodę  
w studni Neptuna — ledwie słyszalne  
dźwięki słysze

ciekawe czy masz oczy zielone  
nad morzem  
o głos jak preludium to moje ulubione

i słyszę twe oczy  
i widzę różne dźwięki  
i bawię się piaskiem  
już przyszłego lata

Kamena str. 6

**Z**ARAZ no wejściu w obszar szybu bogdanieckiej kopalni odczuwam, że czegoś na tej znanej mi od kilku lat powierzchni brakuje. Czego? Sytuacja jest w czymś podobna do tej sprzed trzech chyba lat, a równocześnie jednak inna. Przecież przed dwoma miesiącami, jeszcze przed miesiącem, stała tu wieża szybu numer dwa?! Nieopodal kilku znajomych z Przedsiębiorstwa Montażu Urządzeń Górniczych. Również ich czynności są podobne do tych sprzed trzech lat na tym samym miejscu. Oto składają maszynę wyciągową, a przede wszystkim nową wieżę, tę ostateczną, tę trwałą, co to służyć będzie górnikom już na zawsze. Przyjdzie taki czas, pewnie jeszcze przed końcem roku, gdy tę wieżę wyciągową nasunie się na głowicę szybu, która obecnie wygląda jak ogolony nie tylko z konstrukcji, do których przywykło oko, ale i z przyziemnej czapy starych fundamentów. W ich miejsce powstają właśnie nowe, by dźwigać, także na stałe, elementy nadszycia i główną głowicę, na której spocznie ciężar montowanej właśnie obok wieży wyciągowej.

Przypominam sobie moje poprzednie zjazdy w kuble w studnię tego właśnie drugiego szybu, choćby ten do brygady Stanisława Walasa. Dziś okazuje się to niemożliwe, szczególnie dla reportera. Tam, niżej, wbuduje się w ściany szybu i środkiem żelazne dźwigi, coś w rodzaju torów dla przyszłych klatek. Przypominają one urządzenia w windach naszych wieżowców, tylko gdzieś spotkać budynek o prawie kilometrowej wysokości, gdzie znaleźć studnię, podobną do tej pod nami?

Dyrektor do spraw technicznych Kombinatu Budownictwa Górniczego „Wschód” w Łęcznej, mgr inż. Henryk Kato, nazwie w naszej późniejszej rozmowie owe dźwigi bardziej fachowo i obrazowo — prowadnikami. One wyznaczają tor klatek, w których będą zjeżdżać i wracać górnicy, stamtąd wreszcie na powierzchnię wyciągnie się w pierwej urobek z budujących się chodników, potem tak oczekiwany wę-

## LUBELSKI WĘGIEL

### Teraz w poziomie

Tadeusz Jasiński

gł. Trwa natomiast dawna komunikacja w „Samsonowiczu”, można zjechać w kuble prawie kilometr pod ziemię. Tu jeszcze wnętrza szybu pierwszego się nie zbroi, nie sposobi na stałe użytkowanie: to nastąpi za kilka miesięcy.

Na głębokości dziewięćset sześćdziesięciu metrów pracują ludzie oddziałowego Szymona Pytlowanego. Brygady, które dotąd spotykałem na różnych głębokościach czterech szybów, schodziły lub schodzą w głąb ziemi. Nadal torują sobie drogę ciężko i mozolnie, w niesamowitym hałasie pikujących wiertarek pneumatycznych, pracy ładowarki, opadających strug wody. Górniczy szygara Pytlowanego przecinają tę ziemię inaczej, bo w poprzek, prosto i ukosami. Geolodzy, którzy „widzą” nawet w jej głębi, określili, że nad nimi i przed nimi natura rozmieściła trzynaście warstw węgla, o który warto się pokusić. Jedne pokłady mają niecały metr grubości, ale za to inne prawie dwa i do takiej właśnie ściany

myślą w roku przyszłym dotrzeć. Kiedy to nastąpi, kiedy nadejdzie ten dzień, że ściana tak będzie gotowa, że do niej podejść górnicy ze swoimi nowoczesnymi urządzeniami i pierwszy węgiel wyślą na górę? Naczelny dyrektor Kombinatu Budownictwa Górniczego „Wschód”, mgr inż. Włodzisław Mięsiowicz uznaje tylko jeden termin: Barbórkę 1980 roku: wszystko, co robi się w szybach, nad nimi i między nimi podporządkowane jest właśnie rządowej dyrektywie ustalającej czwarty grudnia przyszłego roku, jako początek wydobywania lubelskiego węgla już na skalę przemysłową. Oznacza to, że właśnie do tej daty kopalnia pilotująco-wydobywcza musi być gotowa. Jego zastępca do spraw ekonomicznych, mgr Józef Gall, w tajemniczo mnie jednak w fa-zy pośredniej, te związane z wyposażeniem szybów, zbrojeniem ich wnętrza, co trzeba do tego czasu zrobić pod i nad ziemią, a przede wszystkim mówi o tym właśnie, co teraz mam zobaczyć.

salny czworobok hotelu może pomieścić w swoich 3200 pokojach 6 000 gości.

\*

Godzina 19.30. Rozlega się sygnał festiwalu.

Uważamyje towarzyszy, damy i gospada, ruzieszit pieridstavit' siebie polskoju dieliegacju... Delegacji polskiej przewodniczy wiceminister kultury i sztuki, Antoni Juniewicz, stają obok niego Barbara Brylska, Daniel Olbrychski, Bohdan Poręba, operator Bogusław Lambach... Gorące brawa zbiera reżyser stojący do konkursu „Amatora” Krzysztof Kiesłowski, a szczególnie rzęsiście — Krzysztof Zanussi, cieszący się wśród festiwalowych gości ogromnym uznaniem, zaś przez dziennikarzy bezustannie nagabywany o udzielenie wywiadu.

Rozpoczyna się projekcja. Prawie od samego początku czuje się, że film „chwycił”. Ten komedio-dramat o młodym zaopatrzeniowcu z prowincjonalnego zakładu przemysłowego, dojrzewającym wewnątrz pod wpływem swojego dość przypadkowo wynikłego hobby — kręcenia amatorskich filmów, z wszystkimi urokami i ciemnymi stronami tego rodzaju działalności, aż po konflikty z przełożonymi i rozbić życia osobistego, wyraźnie przemawia do widowni. Podoba się lekkość prowadzenia kamery, klarowność narracji, no i gra Jerzego Stuhr, który od razu wyrasta na jednego z najlepszych aktorów festiwalu. Liczne śmiechy i brawa w czasie projekcji, aplauz profesjonalnej, międzynarodowej widowni...

\*

W dziesięć dni później miał zapasć werdykt jury: Złoty Medal dla „Amatora”! I jeszcze: nagroda FIPRESCI dla „Amatora”!

\*

Następnego dnia rano, w sobotę 18 sierpnia, w sali konferencyjnej hotelu „Rossija”, spotkanie dziennikarzy z polską delegacją i ekipą realizatorską „Amatora”. Przybyli liczni przedstawiciele prasy z Zachodu i Wschodu akredytowani w Moskwie. Konferencja prasowa przekształcała się w dyskusję na temat polskiego kina, jego tendencji i problemów, jakie podejmuje. Krzysztof Kiesłowski mówi między innymi o zjawisku „młodego polskiego kina”, o młodej formacji polskich reżyserów, o ich zaangażowaniu w aktualne problemy kraju i świata. Odpowiadają na pytania Jerzy Stuhr i Daniel Olbrychski. Głos zabiera również minister Juniewicz.

W niedzielę, 19 sierpnia, kolejny „polski akcent festiwalu”: w sekcji informacyjnej pokazywany jest polski film

„Baryżni Iz Wilko” czyli... „Panny z Wilka” Andrzeja Wajdy. Film doskonały i taka też jest opinia radzieckiej publiczności, która mimo wczesnej godziny projekcji (9,30 rano) wypełnia po brzegi salę. Rozmawiam później na temat polskiego kina z poznanym w Moskwie studentem wydziału scenarjopisarstwa wyższej szkoły filmowej, słynnego WGIK-u: wyraża się o polskich osiągnięciach filmowych z wielkim szacunkiem. On i jego koledzy cenią szczególnie Wajdę i Zanussiego, bardzo podobają im się filmy Marka Piwowońskiego; z twórczością Kiesłowskiego spotykają się po raz pierwszy.

Ogromną popularnością cieszy się wśród radzieckich widzów Barbara Brylska. Znana u nas przede wszystkim z „Faraona” Jerzego Kawalerowicza i „Albumu polskiego” Jana Rybkowskiego, Brylska, często kręcąc za granicą, wystąpiła m.in. w trzech filmach radzieckich. Przypadła do serca publiczności rolami w „Miastach i latach” Aleksandra Zarchiego i w „Ironii losu”. W 1977 roku osiągnęła kolejny sukces stając się (rzecz bardzo rzadka dla aktora zagranicznego) laureatką Nagrody Państwowej przyznawanej w ZSRR za wybitne osiągnięcia artystyczne. Pisze o tym, i wiele więcej jeszcze dobrego na temat Barbary Brylskiej, Walentin Michalkowicz w 8 numerze „Sputnika kinofestiwalu”. W dwa dni później, w „Sputniku” sylwetka Jerzego Kawalerowicza: „Ogólnoludzki aspekt twórczości Kawalerowicza — stwierdza m.in. autor artykułu — wynika z jego zadziwiającej umiejętności analizowania najdelikatniejszych drgnień duszy ludzkiej.”

W kolejnym numerze festiwalowej gazety, kolorowe zdjęcia młodych polskich aktorów: Grażyna Barszczewska, Joanny Szczepkowskiej oraz Karola Strasburgera a przede wszystkim duży wywiad Anny Kargalickiej z Danielem Olbrychskim. Pada między innymi pytanie: „Czy może Pan powiedzieć, który z radzieckich filmów wywarł na Panu szczególne wrażenie?”

— Oczywiście był me jeden taki film... Wśród nich — „Kalina czerwona” Wasilija Szukszyna i pokazana tam scena spotkania bohatera z matką. Nie wiem, ile razy będę jeszcze ten film oglądał, ale wiem też na pewno, że zawsze będę nim głęboko poruszony, aż do łez. Uważam, że tylko radzieckie filmy potrafią oddziaływać tak szczególnie emocjonalnie na widza (...).”

Tyle pokrótce o polskich akcentach moskiewskiego festiwalu, akcentach mocnych i liczących się bardzo wysoko.

O innych wrażeniach z Moskwy — w następnej korespondencji.

# Wyprzedzał epokę...

Michał Lesiów

Znajdzie się zawsze pewną liczbą dziwaków, szukających w nauce jedynie wiedzy i rozszerzenia swych widnokreślów umysłowych. W tej zaś liczbie będzie też zawsze mała garstka dziwaków w kwadracie, którzy uznają język za przedmiot godny badania, a więc językoznawstwo za naukę, równouprawnioną z innymi naukami. Tak zakończył swój odczyt „O zadaniach językoznawstwa” w roku 1888 w Dorpacie (Tartu) najwybitniejszy językoznawca polski Jan Niecisław Baudouin de Courtenay (1845—1929).

Jemu to w 50 rocznicę śmierci poświęcona została międzynarodowa konferencja naukowa pod hasłem „Jan Baudouin de Courtenay a lingwistyka światowa” w Warszawie, zorganizowana w dniach 4—7 IX br. przez Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Warszawski i Wydział I Nauk Społecznych PAN. Wzięli w niej udział przedstawiciele nauki językoznawczej czterech kontynentów, 19 krajów. Wygłoszono i przedyskutowano ponad 100 referatów z najróżnorodniejszych dziedzin lingwistyki w nawiązaniu do bogatej i głębokiej spuścizny naukowej wybitnego uczonego Polaka.

Uczestnicy konferencji sami zdziwieni byli faktem, że to spotkanie, mające oddać hołd wielkiemu uczonemu, przerodziło się w ważny międzynarodowy zjazd językoznawstwa światowego. Nie mówiąc już o silnej reprezentacji polskiej ze wszystkich prawie ośrodków w kraju, wśród gości zagranicznych znaleźli się językoznawcy wiodący we współczesnej nauce: A. Martinet (Francja), E. Stankiewicz (USA), W. Martynow (ZSRR), H. Birnbaum (USA), K. Horalek (Czechosłowacja), R. Olesch (RFN), E. Eichler (NRD), V. Ruke-Dravina (Szwecja), A. Wierzbicka (Australia) i wielu innych, których nazwiska w językoznawstwie się liczą. I wszyscy się przyznawali do pokrewieństwa naukowego z Baudouinem, jak to skrótowo wyraził jeden z poważnych uczestników konferencji: *wszyscyśmy z niego.*

Jan Baudouin de Courtenay był prekursorem językoznawstwa nowoczesnego. W wielu dziedzinach tej wiedzy współcześni nawiązują do jego myśli i badań, a przede wszystkim w zakresie fonologii, psycholingwistyki, socjolingwistyki, logopedii, dialektologii, onomastyki, historii języka, gramatyki porównawczej języków indoeuropejskich i słowiańskich. Zajmował się twórczo badaniami poszczególnych języków słowiańskich, a przede wszystkim — języka polskiego, rosyjskiego i gwar słowiańskich we Włoszech i w Austrii.

Wykorzystywał twórczo materiał językowy czeski, serbochorwacki, ukraiński, białoruski, łużycki, polabski, staro-cerkiewno-słowiański. I dla tych zakresów wiedzy językoznawczej wniósł wiele interesujących myśli teoretyczno-interpretacyjnych w ocenach ogólniejszych i szczegółowych.

Swą myślą teoretyczną wyprzedzał epokę, w której żył i działał, toteż liczne jego twierdzenia są do dziś dnia aktualne, odkrywane na nowo i twórczo rozwijane. Prawie każdy językoznawca żyjący współcześnie, wczytawszy się w jego dzieła naukowe pisane w różnych językach, znajdzie dla siebie coś, co go pobudzi do dalszych poszukiwań. I to była główna przyczyna tak dużego zainteresowania się twórczością Baudouina, który żył i tworzył w warunkach wielce niesprzyjających.

Był profesorem-tulaczem. Urodzony w Radzyminie pod Warszawą, w roku 1845 ukończył slawistykę na wydziale filologiczno-historycznym

w warszawskiej Szkole Głównej (ówczesna nazwa Uniwersytetu Warszawskiego) w roku 1866. Następnie odbywał studia za granicą w Pradze, Jenie, Berlinie i Lipsku. Jako Polakowi nie pozwolono mu pracować w Warszawie i w Kijowie. W Petersburgu uzyskał stopień „docenta prywatnego porównawczej gramatyki języków indoeuropejskich”. Od roku 1874 przez siedem lat pracował w Kazaniu, w latach 1883—1893 — w Dorpacie, przez sześć następnych lat (1894—1899) — w Krakowie, w latach 1900—1918 — w Petersburgu i już po odzyskaniu niepodległości Polski przez ostatnie lata swego twórczego życia jako profesor honorowy w Warszawie, z Warszawy dojeżdżał przez pewien czas do Lublina. Umarł w roku 1929 w wieku 84 lat.

Należy też zwrócić uwagę na jego postawę społeczną wobec rzeczywistości go otaczającej. Jak pisał jego uczeń, H. Ułaszyn, unoszony temperamentem brał pióro do ręki i pisał — i pisał setki artykułów i broszur w sprawach społecznych, narodowych, moralno-religijnych. *Bije z nich wszystkich niezależność sądu, krystaliczna czystość intencji, troska o szczytne ideały ludzkości i gorąca w nie wiara (...)* Konfiskowano artykuły jego niezliczone razy; narażał się na niezliczone szykany i ciosy, na zakazy odczytów (...), usuwano go z uniwersytetu, osadzano w więzieniu za upominanie się o autonomii dla Królestwa Polskiego... *Ale trwał niezachwianie na stanowisku, usque ad finem...*

W roku 1921, kiedy obchodził 50-lecie swej pracy naukowej, ówczesny prezes Polskiej Akademii Umiejętności prof. Kazimierz Morawski pisał w adresie jubileuszowym m.in.:

*Sumienie kazało Ci także niekiedy poza nauką wykraczać w zakresy społecznych, narodowych zagadnień. Z wielką podziwu godną otwartością i odwagą karcieles wedy wszelkie wybrki nacjonalistyczne, wszelkie gwałty, spełniane na językach narodów i uczuciach, a umiałe także przygodne błędy i nieuczciwości swego czy obcego narodu napiętnować...*

Prace J. Baudouina de Courtenay nie straciły na swej świeżości do dnia dzisiejszego. Wydane zostały dwa tomy jego prac ogólnojęzykoznawczych przez Akademię Nauk ZSRR, wyszedł też tom jego prac w USA, w Polsce zaś zaplanowano sześć okazałych tomów jego dzieł wybranych, z czego na półkach księgarskich są już dwa tomy. W tomie pierwszym (Warszawa 1974) umieszczono też obszerne omówienie twórczości Baudouina pióra W. Doroszewskiego i pełną bibliografię prac opublikowanych dotychczas, liczącą około 650 pozycji. W planie są wydania również prac i materiałów Baudouina, które pozostawały dotychczas w rękopisach, a także jego niezwykle interesujących listów.

Konferencja międzynarodowa na temat „Jan Baudouin de Courtenay a lingwistyka światowa”, której trud organizacyjny wziął na swe barki Instytut Filologii Polskiej UW z prof. Mieczysławem Szymczakiem na czele, wskazała na niezwykłą aktualność i świeżość jego myśli i badań. Przyczyni się ona niewątpliwie do spopularyzowania tych myśli w językoznawstwie światowym, a szczególnie w językoznawstwie polskim i słowiańskim. Była to konferencja niezwykła, pozostanie na długo w pamięci jej uczestników.

Kamena str. 7

Innego zaznawalem uczucia, gdy dotąd mogłem jedynie zjechać na dno szybu i jak z każdej studni powrót odbywał się tą samą drogą. Tutaj będzie podobnie, ale teraz mam możliwość pójść nareszcie w bok, iść ku szybowi drugiemu i to na głębokości 960 metrów! Łuk sklepienia nade mną jest nawilgocony, ale nie leje się wcale na skafander i górniczy kapelusz, a tym bardziej za kołnierza. Chociaż ładowarka głośno pracuje, jest tu o wiele ciszej niż na dnie budujących się jeszcze szybów.

Sporo czasu upłynie zanim chodniki od obu szybów stanowiąc będą prostokąt komunikacyjny i od niego pójdą dalsze, i dalsze, aby w grudniu przyszłego roku liczyć sobie już mogły prawie czterdzieściami kilometrów tylko w tej jednej kopalni. Do szybu czwartego w Nadrybiu dwa tysiące metrów, ale nie tylko o bezpośrednie korytarze tu chodzi. Tymczasem ładowarka czerpie urobek skalny i bocznie zsypuje go do zbiornika, z którego po kilku minutach kolejny kubel wywozi ten urobek do góry. Dowiaduję się, jaką ludźmi rządzącego tu sztygara przeżyli radość, gdy przebili się do podszybia szybu drugiego, gdy otworzyli sobie do niego przejście. Powiadają, że tego nie da się opowiedzieć, mimo że wśród nich są i tacy, którzy pamiętają takie chwile z Lublińskiego-Głogowskiego Zagłębia Miedziowego. Najtrudniejszy jest początek. A potem, potem zostaną rozebrane tymczasowe urządzenia w „Samsonowiczu” i zainstalowane ostateczne, wtedy to już w ogóle będzie łatwiej i już patrzeć się będzie, kiedy z pomocą przyjdzie szyb trzeci. Zresztą teraz, gdy ten chodnik między pierwszym i drugim jest gotowy, gdy inaczej przepływa powietrze, uległa poprawie wentylacja.

Trzeba jednak przerwać roznowy. Urobek z poprzedniego odstrzału został sprzątnięty. Górniczy wywiercili nowe otwory strzałowe, nabili je dynamitem.

Odeszli od tego podziemnego zaułku i nas bezpardonowo wypraszają.

Wiem, że obok, w szybie trzecim, górniczy doszli do pięćset siedemdziesiątego metra, że zatrzymali się znowu, jak kiedyś ich koledzy w obu sąsiednich, nad tą pierońską kurzwawką, nad albem. Kiedy mijali na dwustu dwudziestych metrach pierwszą warstwę żywiolu, przeszli przez albe dobrze zamrożony, teraz do mrozenia tego, co pod ich stopami, właśnie się przystąpił. Pomni doświadczeń w „Samsonowiczu” nakładają żelbetonowy korek, aby pracować bezpiecznie.

W Nadrybiu, w czwartym szybie, ludzie Zygmunta Gliwińskiego z brygad Mieczysława Pawłowskiego, Jana Dominy, Czesława Górskiego, Waldemara Procia i Romana Kudreła także już zeszli na pół kilometra pod ziemię i wnet dogonią tych z trzeciego, że i w końcu na jakiś czas również opieczą tują wewnątrz ziemi takim samym korkiem. Tylko że oni od razu robią obudowę ostateczną, korzystają przecież z doświadczeń Bogdanki.

I jeszcze wiem, że w trochę odległym Stefanowie sposobi się warunki do budowy kopalni drugiej. Tam właśnie Przedsiębiorstwa Poszukiwań Nafty i Gazu z Jasła i Piły wiercą otwory wokół dwu szybów, sposobią wszystko do głębokiego mrozenia. Powstają tam drogi dojazdowe, obiekty.

Z relacji moich rozmówców i z tego, co widziałem, narzuca się jeszcze jedno spostrzeżenie: dawno już odrobiono wszelkie zaległości, spowodowane w swoim czasie żywiołem, harmonogramy wykonuje się nawet z pewnym wyprzedzeniem, zgodnie ze zobowiązaniem z okazji trzydziestopięciolecia.

Skape informacje dochodzą nas teraz z Bogdanki i Łęcznej, fanfary odłożono już dawno do schowka. Myślę, że jednak przyjdzie taki dzień, iż trzeba będzie je wyjąć i zadać z całą siłą i radością.

# MIĘDZYKONKURSOWY KONKURS MŁO

## HENRYK WIENIAWSKI

**Z**A kilka miesięcy (dokładnie 31 III 1988 r.) upłynęło sto lat od śmierci Henryka Wieniawskiego, jednej z muzykalnych znakomitości minionego stulecia, które było „złotym wiekiem” wirtuozów skrzypiec. Antoni Rubinstein w swej książce *Die Musik und ihre Meister* nazwał Wieniawskiego ostatnim wirtuozem-wioliniście, tak jak Nari Tausig zyskał miano ostatniego wirtuozu fortepianu.

U podstaw tej tezy legło niewątpliwie przesvědzenie o konieczności tworczym charakterze wirtuozostwa: Wieniawski stał się więc pod tym względem obok Liszta i Paganiniego, którzy wykonywali prawie wyłącznie kompozycje własne. Tymczasem zarówno ich poprzednicy z pierwszej połowy XIX wieku, jak i bezpośredni następcy ograniczali się do odtwarzania cudzych pomysłów i eksponowania swojej niesłychanej biegłości technicznej. By uświadomić sobie, jak trudno było w owym czasie d'or skrzypiec stworzyć coś rzeczywistego nowego i oryginalnego, wystarczy wymienić wirtuozów współczesnych naszemu rodakowi: Charles Bériot, Henri Vieuxtemps, Camillo Sivori, Heinrich Ernst. Wszyscy oni w historii wirtuozostwa byli gwiazdami pierwszej wielkości. Wydało się, że o sukcesach Henryka Wieniawskiego decydowała w równej mierze siła jego osobowości połączona z żywiołowym temperamentem, jak i specyficzne cechy wykonawstwa. Jedną z nich podkreślał, że jego namietność, patos i elegancja nawet w chwilach najwyższego uniesienia porzucił i zaru nie przekroczył nigdy linii wytworności i szlachetnego smaku. Dziś, gdy czytamy te słowa, uświadomiamy sobie, że nazwiska Lauba, Sivoriego, Ernsta coraz bardziej idą w zapomnienie. Vieuxtempa zna przeciętny meloman z koncertu *a-moll op. 37*: pozostała tylko pamięć o Paganinim i Wieniawskim.

Ein geigerisches Genie, geniusz skrzypiec, jak go nazywano w Niemczech, urodził się w Lublinie 10 VII 1835 r. jako drugi z kolei syn Tadeusza Wieniawskiego, magistra medycyny, chirurga, akuszerki i filozofa, uczestnika listopadowej insurekcji. Matka, Regina z Wolfów, była – wedle świadectw współczesnych – osobą niezwykle muzykalną i kochającą muzykę. Wuj Henryka, Edward Wolff, kompozytor i pianista, przebywał w Paryżu, gdzie zaprzyjaźnił się z Chopinem. Wcześniej u-

jawniony, niepospolity talent chłopca skłonił jego rodziców do poddania go systematycznej i nie domowej edukacji. Posłano go mianowicie na lekcje do Jana Hornziela. Gdy Hornziel zadebiutował w stolicy i uzyskał engagement do Teatru Wielkiego, edukacją Henryka zajął się Stanisław Serwaczynski, ówczesny koncertmistrz Opery w Budapeszcie i pierwszy nauczyciel Józefa Joachima.

Młody Wieniawski uczestniczył w domowych koncertach kameralnych. Podstawą jego edukacji była – jak podaje J. W. Reiss – metoda Rode-Kreutzer-Baillot. Ku powszechnemu zdumieniu grywał kompozycje Cremona i Bériota, o wiele przeto, wsparty w tej mierze opinią znakomitego ówczesnego wirtuozu Henryka Panofki, postanowił wysłać chłopca do konserwatorium.

Wahano się pomiędzy Pragą – uczył tu F. W. Pixis – i Paryżem. W rezultacie rodzice Henryka zdecydowali się na Paryż. Przesądziła o tym i sława Kreutzera, Lafonta, Rovelliego oraz innych mistrzów, i nadzieja na protekcję wspomnianego już Edwarda Wolffa. Pani Wieniawska wyruszyła zatem do Francji z ósmioletnim wówczas Henrykiem. Lambert-Joseph Massart po próbie lekcji przyjął go do klasy skrzypiec, najpierw pod opiekę Clavela; uczyniono tu wyjątek, omijając przepis, który ustalał doina granicę wieku na 12 lat. Jeszcze jako uczeń Clavela (po roku przejął opiekę nad nim Massart Wieniawski wystąpił publicznie 27 IV 1844 r. w „Petit Salon de Mme Erard”. Zachował się program tego poranku i dowiadujemy się zeń, że le petit Polonais wykonał *Symphonie concertante na dwóch skrzypiec Kreutzera* (z Leonem Reynier) i realizował partię altówki w *Kwartecie b-moll op. 33* Havdna. W dwa lata później Wieniawski ukończył konserwatorium paryskie, zdobywając pierwszą nagrodę, złoty medal i skrzypce Guarneriego del Gesù.

Opromieniony paryskim sukcesem rozpoczął błyskotliwą karierę solistyczną, występując na estradach całej Europy i Ameryki Północnej. Do rodzinnego miasta zawitał 5 I 1851 r., dając recital wspólnie z młodszym bratem Józefem, pianistą, również absolwentem konserwatorium w Paryżu. Później ich artystyczne drogi rozeszły się, choć sporadycznie występował razem.

Uwagi powyższe, oparte w znacznej



Fot. Jan Trembecki

mierze na ustaleniach J. W. Reissa i Wł. Duleby, kończymy na tym epizodzie życia wielkiego skrzypka i kompozytora, który stanowił wyraźny przedział między dzieciństwem – związanym z Lublinem – a życiem dorosłym, rozpoczętym – co prawda dość wczesnie. Pamięć o Henryku Wieniawskim przenika wszelkie dziedziny muzycznej aktywności naszego miasta. Jego imię nosi

lubielska Filharmonia – pierwsza instytucja muzyczna w Polsce Ludowej – oraz założone w 1898 roku Towarzystwo Muzyczne. Z okazji jubileuszu tegoż Towarzystwa odsłonięto w ubiegłym roku pomnik wirtuozu dęta artysty rzeźbiarza Janusza Pastwy, będący pięknym dowodem pamięci, jaką społeczność lubielska darzy najwybitniejszego z urodzonych tu artystów.

# TOWARZYSTWO MUZYCZNE IM. HENRYKA WIENIAWSKIEGO

**P**OCZĄTKÓW stowarzyszeń muzycznych w Lublinie można upatrywać już w XVII wieku. Miały one jednak krótki żywot, a i dokumentów traktujących o ich działalności dochowało się niewiele. Dopiero w początkach XIX stulecia życie muzyczne naszego miasta popłynęło żywym nurtem. Około 1815 r. powstało Towarzystwo Filharmoniczne, istniała orkiestra teatralna i symfoniczna, był też zespół specjalizujący się w muzyce kościelnej.

Prace nad założeniem Towarzystwa Muzycznego w Lublinie, zapoczątkowane przez Władysława Modrzewskiego,

zostały uwiecznione powodem w dniu 14 II 1898 r. Wynajęto salę w Teatrze Miejskim (do dzisiaj służy ona Filharmonii) i utworzono kilkunastoosobowa orkiestra, utrzymująca się – zdaniem recenzentów – na wysokim poziomie.

Po odzyskaniu niepodległości z inicjatywy Towarzystwa powołano do życia szkołę muzyczną im. Stanisława Moniuszki, przygotowującą młodzież do nauki w warszawskim Konserwatorium. Zorganizowano szereg konkursów kompozytorskich i wykonawczych. Na zaproszenie Towarzystwa koncertowali w naszym mieście artyści t. j. młarzy, co

Ada Sari, Irena Dubiska, Artur Rubinstein, Karol Szymanowski i Zbigniew Drzewiecki. Wydawanymi także czasopiśmie „Lubielskie Wiadomości Muzyczne”. Z chwilą wybuchu wojny działalność LTM została formalnie zawieszona. Wznowiono ją dzięki inicjatywie Wojewódzkiej Rady Narodowej już 3.VIII.1944 r. Wkrótce Towarzystwo przeszło metamorfozę wskutek wydzielenia zeń i upaństwowienia zarówno placówek szkolnictwa muzycznego, jak i orkiestry symfonicznej, przekształconej w filharmonię. Zorganizowano natomiast w mieście i województwie sieć ognisk muzycznych a w 1953 r. powstała Średnia

Szkola Muzyczna, prowadząca obecnie naukę na wydziałach: wokalnym, instrumentalnym i wychowania muzycznego. Szkoła, nazwana imię Tadeusza Szellowskiego, prowadzi też ożywiającą działalność popularyzatorską i koncertową. Z inicjatywy działaczy Towarzystwa ogłaszano kilkakrotnie Dni Wieniawskiego a w 1979 r. po raz pierwszy zorganizowano Ogólnopolski Festiwal Młodych Skrzypków; przed trzema laty lubielska impreza otrzymała status konkursu a oprócz wirtuozów polskich wzięli w niej udział młodzi wykonawcy z Bułgarii, CSRS, NRD i ZSRR.

## KONKURS

## MŁODYCH SKRZYPKÓW

**K**AŻDA forma popularyzacji dobrej muzyki odgrywa w dzisiejszej dobie niepospolitą rolę. Festiwale zaś i konkursy przeznaczane dla młodzieży pozwalają ponadto zorientować się w perspektywach kariery muzycznej, w możliwościach młodych wykonawców i wreszcie – last but not least – w sensowności i efektywności metod kształcenia. Podobne założenia legły u początków organizowanych staraniem Towarzystwa Muzycznego festiwali i konkursów młodych skrzypków.

Nazwiska laureatów lubielskiej imprezy odnajdujemy wśród uczestników krajowych i zagranicznych konkursów oraz w koncertowych programach. Wystarszy wymienić kilka nazwisk: Teresa Głębowna, laureatka konkursu w

Genoi; Barbara Górczyńska, laureatka konkursów w Poznaniu (Wieniawski) i Zagrzebiu; Piotr Milewski – oba konkursy poznańskie (Jahnke, Wieniawski); Aureli Błaszczok (Graz, Opawa, Markneukirchen, Poznań) czy Roman Reiner i Krzysztof Smietana, którzy wraz z krakowskim zespołem „All'Antica” zdobyli pierwsze miejsce w międzynarodowym konkursie orkiestr symfonicznych i kameralnych w Berlinie Zachodnim.

Zgodnie z regulaminem Międzynarodowego Konkursu Młodych Skrzypków odbywać się ma co trzy lata. Patronat nad nim objął minister kultury i sztuki Zygmunt Najdowski. W skład Jury zaproszono wybitnych muzyków i pedagogów, takich jak prof. prof. Irena Dubiska (przewodnicząca), Yfrach Neaman (Wielka Brytania), Roman Totenberg (USA), Xavier Turull (Hiszpania), Claus Assman (RFN), Werner Scholz (NRD), Peter Christoskow (Bułgaria), Lazar Marjanović (Jugostawia),

Anatolij Kisielow (ZSRR), Eugenia Umińska, Zenon Brzewski, Stanisław Lewandowski, Zenon Piosza i Oskar Ruppel.

Do konkursu zgłoszono 63 uczestników, w tym 29 skrzypków z zagranicy (Wielka Brytania, Bułgaria, CSRS, Finlandia, Jugostawia, Rumunia, NRD, USA i ZSRR). Wystąpią oni w dwóch grupach: do lat 16 oraz od 16 do 19. Skrzypkowie z grupy młodziej wykonują w pierwszym etapie I i II część wybranej sonaty na skrzypce i fortepian (kompozytorzy: J. S. Bach, G. F. Händel, J. M. Leclair, F. M. Veracini, P. Locatelli, G. Tartini, A. Vivaldi), jeden z Kapryśów op. 10 nr 2, 3, 4 lub 5 Wieniawskiego oraz *Introdukcję i Rondo capriccioso C. Saint-Saënsa* albo Wieniawskiego *Scherzo-Tarantelle*. W etapie drugim poza utworem dowolnym o czasie wykonywania nie przekraczającym 15 minut uczestników obowiązuje pierwsza część jednego z pięciu koncertów: *Koncert g-moll M. Bruch*, *Koncert A-dur K. V. 319 Mozarta* (z kadencją Joachima), *Koncert b-moll C. Saint-Saënsa*, *Symphonie espagnole E. Lalo*, *Koncert e-moll F. Mendelssohna*.

Grupa starsza oczekuje eliminacji trójstopniowej. Program pierwszego etapu obejmuje pierwszą część wybranej sonaty na skrzypce solo J. S. Bacha (*a-moll, A-dur*), *Kapryś* z op. 1 N. Paganiniego oraz Jeszcze jeden *Kapryś* do wyboru spośród trzech: z op. 10 Wieniawskiego (poza nr 1, 8 i 9), z op. 29 Liszta (nr 1 i 2) oraz tenże opus nr 3. W drugim etapie usłyszymy część pierwszą jednej z sonat na skrzypce i fortepian L. van Beethovena (*D-dur, A-dur, Es-dur op. 12*), *Romans, Nokturn* i *Tarantelle* lub jeden z *Miódów K. Szymanowskiego* oraz utwór dowolny. I wreszcie etap trzeci ma w

programie pierwszą część jednego z pięciu koncertów: *Koncert A-dur M. Karłowicza*, *Concerto militaire D-dur K. Liszta*, *Koncert fis-moll Wieniawskiego*, *Koncert D-dur Paganiniego* i *Koncert a-moll Vieuxtempa* (dwa ostatnie z kadencjami).

W dniu 3 października odbędzie się koncert inauguracyjny w którym wystąpi znakomity skrzypek polskiego pochodzenia – Roman Totenberg. Po zakończeniu zaś przelichu konkursowych i ogłoszeniu werdyktu Jury laureaci wystąpią na estradzie Filharmonii Lubelskiej.

Analiza programu obu grup doprowadza do optymistycznej refleksji, że organizatorom konkursu udało się uniknąć tego, co w naszym przekonaniu jest pewnym niedostatkiem poznańskiego konkursu im. Wieniawskiego – jednostronnego uprzywilejowania muzyki z początków XX wieku na niekorzyść „klasycznej” dającej przecież większe pole do zaprezentowania możliwości technicznych i dojrzałości interpretacyjnej, poszerzającej też znacznie skalę porównawczą. Trudno dziś wyobrazić sobie wielki konkurs skrzypcowy, który nie obejmowałby swoim repertuarem dzieł Paganiniego, Vieuxtempa czy Mendelssohna.

Lubielska impreza otrzymała starą oprawę. Oprócz przelichu odbędzie się szereg spotkań i koncertów towarzyszących. Wybity został pamiątkowy medal, ukazany na plakacie zaprezentowany przez Zofię i Henryka Szułcowa, a Ministerstwo Łączności zapowiada emisję znaczka, kopert FDC oraz zastępowanie okolicznościowego datownika. „Kamena” życzy uczestnikom Międzynarodowego Konkursu Młodych Skrzypków udanego występu, początkowo dalsze „dorosłe” sukcesy, a w bilczości konkursowej wielu radośnych wrażeń i doznań.



# DYCH SKRZYPKÓW W LUBLINIE



**BARBARA GÓRZYŃSKA** — uczennica prof. Zenona Płoszaja w Łodzi. Laureatka I Festiwalu Młodych Skrzypków w Lublinie (1970). III nagroda w Poznaniu (VI Międzynarodowy Konkurs im. Wieniawskiego), I nagroda w Zagrzebiu (Konkurs im. Hummala, 1977). Reprezentowała Polskę w ostatnim Konkursie im. Czajkowskiego w Moskwie. Jest asystentką w łódzkiej PWSM. Liczne koncerty w kraju i zagranicą.



**TERESA GŁĘBOWNA** — uczennica prof. Eugenii Umińskiej w Krakowie. Laureatka I Festiwalu Młodych Skrzypków w Lublinie (1970). Zdobyła nagrodę w Genewie (Konkurs im. Paganiniego). Uczestniczyła w Konkursie im. Sibeliusa w Helsinkach. Jest asystentką w krakowskiej PWSM. Koncertowała w wielu krajach Europy. Dokonała licznych nagrań radiowych.



**AURELI BŁASZCZOK** — uczeń prof. Stanisława Lewandowskiego w Katowicach. Laureat II Festiwalu Młodych Skrzypków w Lublinie (1973). Zdobywał nagrody na konkursach w Grazu, Markneukirchen, Opawie i Kopenhadze (jako kameralista). Uczestniczył w VII Konkursie im. Wieniawskiego. Koncertował m.in. w Anglii, Szwajcarii, Danii i NRD.



**PIOTR MILEWSKI** — uczeń prof. Jądwi Kaliszewskiej. Laureat II Festiwalu Młodych Skrzypków w Lublinie (1973). Jeszcze jako uczeń Liceum im. M. Karłowicza w Poznaniu uczestniczył w VII Konkursie im. Wieniawskiego, zdobywając II nagrodę. Jeden z najbardziej uzdolnionych skrzypków młodego pokolenia.

International Competition of Young Violinists organized by the Henryk Wieniawski Musical Society, is one of the most important musical performances in Lublin. The origins of the organized musical life can be traced already in the first half of the 17th century. Nevertheless, only the Philharmonic Society, established in 1815, concentrating the best musicians and undertaking various and interesting artistic activities, gave rise to the systematic practice in music. Among the soloists related to Lublin and our region, two have gained the European fame: Karol Lipiński and Henryk Wieniawski. Lipiński (1790—1861) during his Italian tour took part, together with Niccolò Paganini, in the master competition and was accounted by the critics the Italian „maestro di maestri” equal. Even more famous was Henryk Wieniawski (1835—1880), a son of the well known doctor. His early noticed,

exceptional talent inclined the parents to give him the systematic education. At first he was taught by the best violinists in Lublin and then by Clavel and Massart in Paris Conservatory. He finished his musical education at the age of twelve to start, as an infant prodigy, his dazzling career of a virtuoso and an outstanding composer. Wieniawski, like Liszt and Paganini, performed almost exclusively his own compositions which speaks volumes for the creative character of his virtuosity. The violin traditions of Lublin are expressed in organizing the competitions of the young violinists. The Musical Society founded in 1898 and the Lublin Philharmonic instituted in 1944 as a first musical stage in reborn Poland bear the name of Henryk Wieniawski. Six years ago on the house No 17 in the Old Town where the composer was born, a commemorating plate was unveiled. Last year also the

unveiling of the Wieniawski monument took place.

The festivals and competitions of the young violinists are organized from 1970. Many prizewinners of them took part in numerous Polish and international Competitions, often carrying off the prizes. Piotr Milewski received 2nd prize in the VIIIth Henryk Wieniawski Competition in Poznań, Teresa Głębowna was a prizewinner of Paganini Competition in Genoa, Roman Reiner and Krzysztof Smetana together with the chamber group won the first prize in the Berlin Orchestra Competition taking place under the patronage of Herbert von Karajan.

We would like to wish the participants of International Competition of Young Violinists a great artistic success in the hometown of Henryk Wieniawski, and a great scientific centre with about 30.000 of students.

Le Concours International de Jeunes Violonistes, organisé par la Société Musicale Henryk Wieniawski, est une des plus importantes manifestations musicales de Lublin. Les commencements d'une vie musicale organisée se laissent dépister déjà dans la première moitié du XVII<sup>e</sup> siècle. Ce ne fut cependant que la Société Philharmonique fondée en 1815, groupant les meilleurs musiciens de Lublin et prenant l'initiative de nombreuses et intéressantes entreprises artistiques, qui marqua le début d'une activité musicale systématique. Parmi les solistes issus de Lublin, deux s'acquiescent une célébrité internationale: Karol Lipiński et Henryk Wieniawski. Lipiński (1790—1861), lors de sa tournée italienne participa, avec Niccolò Paganini, à un tournoi des maîtres et les critiques virent en lui un virtuose égal du „maestro di maestri” italien. Plus grande fut encore la renommée de Wieniawski (1835—1880), fils d'un médecin lublinien réputé. Son talent peu commun et précoce décida

ses parents à lui assurer une formation systématique. Il eut pour maîtres les meilleurs violonistes de Lublin, puis Clavel et Massart au Conservatoire de Paris. A l'âge de vingt ans, il termina son éducation musicale pour commencer — en „enfant prodige” — une éblouissante carrière de virtuose, successeur de Paganini, et de compositeur éminent. Wieniawski, tout comme Liszt et Paganini, exécutait presque exclusivement ses propres oeuvres, ce qui témoigne du caractère créateur de sa virtuosité. Les traditions de violon lubliniennes trouvent leur expression dans l'organisation des concours de jeunes violonistes. Le nom de Henryk Wieniawski reste lié à la Société Musicale fondée en 1898 et à la Philharmonie de Lublin, créée en 1944 comme la première institution de musique dans la Pologne renaissante. Il y a six ans, la maison 17, Place de Marché de la Vieille Ville, où le compositeur vit le jour, fut ornée d'une plaque commémorative. L'année, passée un monu-

ment de Wieniawski fut inauguré à Lublin.

Les festivals et les concours de jeunes violonistes ont lieu depuis 1970. Nombre de lauréats de cette manifestation ont participé à plusieurs concours nationaux et étrangers, et maintes fois des prix ont couronné leurs prestations. Piotr Milewski a eu le II<sup>e</sup> prix au VII<sup>e</sup> Concours Henryk Wieniawski à Poznań, Teresa Głębowna a été lauréate du Concours Paganini à Gènes, Roman Reiner et Krzysztof Smetana avec un ensemble de chambre se sont classés premiers au concours d'orchestres organisé à Berlin-Ouest sous le patronage de Herbert von Karajan.

Nous souhaitons aux participants venus au Concours de Jeunes Violonistes qu'à Lublin, ville natale de Henryk Wieniawski et grand centre universitaire où une trentaine de milliers d'étudiants parfont leur éducation, ils remportent leurs premiers succès artistiques.

Международный Конкурс Молодых Скрипачей, организованный Музыкальным Обществом им. Генрика Венявского, является одним из самых важных музыкальных мероприятий в г. Люблине. Зачатки организованной музыкальной жизни в нашем городе можно видеть уже в первой половине XVII столетия. Однако, только основанное в 1815 г. Филармоническое Общество, объединявшее лучших люблинских деятелей в области музыки и выступавшее с многими интересными и разнообразными художественными инициативами, положило начало систематическим музыкальным занятиям. Из числа солистов, связанных с Люблином и Люблинской областью, европейскую славу снискали Кароль Липинский и Генрик Венявский. Липинский (1790—1861) во время своего итальянского турне принимал участие вместе с Николо Паганини в искусном турнире и критиками был признан виртуозом, равным итальянскому „маэстро ди маэстри”. На еще лучшем счету был Генрик Венявский (1835—1880), сын

известного люблинского врача. Его рано обнаруженные незаурядные способности склонили родителей подвергнуть его систематическому образованию. Учился он сперва у лучших люблинских скрипачей, а затем — в парижской Консерватории Клавель и Массар. Свое музыкальное образование окончил Венявский в возрасте двенадцати лет, когда у него, как „лаундеркинда”, началась очаровательная карьера виртуоза, преемника Паганини и выдающегося композитора. Венявский, подобно тому как Лист и Паганини, исполнял почти исключительно собственные произведения, что свидетельствует о творческом облике его виртуозности. Люблинские традиции по игре на скрипке проявились в организации конкурсов молодых скрипачей. Именем Генрика Венявского названы основанное в 1898 году Музыкальное Общество и Люблинская Филармония, возникшая в 1944 году, как первое музыкальное учреждение в возрожденной Польше. Шесть лет тому назад на здании № 17, находящемся

в Рынке Старого Города, открыта была мемориальная доска, отмечающая место рождения композитора. В прошлом году открыт был в Люблине памятник Венявскому.

Фестивали и конкурсы молодых скрипачей происходят с 1970 года. Многие лауреаты этого мероприятия принимали участие в различных польских и зарубежных конкурсах, нередко получая премии. Петр Милевский получил вторую премию в 7 Конкурсе им. Генрика Венявского в Познани, Тереса Глоббувна стала лауреаткой Конкурса им. Паганини в Генуе, а Роман Райнер и Кшиштоф Сметана вместе с камерной группой получили первую премию в Конкурсе Оркестров, происходящем под покровительством Герберта фон Караяна в Западном Берлине.

Мы желаем участникам Международного Конкурса Молодых Скрипачей добиться первого артистического успеха в родном городе Генрика Венявского, в Люблине, большом студенческом центре, где в вузах учится около 30 тысяч человек.

Der von der Henryk-Wieniawski-Musikgesellschaft organisierte Internationale Wettbewerb Junger Geigenpieler ist eine der wichtigsten musikalischen Veranstaltungen in Lublin. Die Anfänge des organisierten Musiklebens in unserer Stadt sind schon in der ersten Hälfte des XVII. Jahrhunderts zu suchen. Jedoch erst die im Jahre 1815 gegründete Philharmonische Gesellschaft, die in ihren Reihen die besten Lubliner Musiker hatte und die viele interessante und verschiedenartige künstlerische Initiativen unternahm, begann Musik systematisch zu pflegen. Von den Solisten, die mit Lublin und seiner Umgebung verbunden waren, haben zwei, Karol Lipiński und Henryk Wieniawski, Ruhm in Europa erworben. Lipiński (1790—1861) nahm während seiner italienischen Tournee mit Niccolò Paganini an dem Meisterturnier teil und wurde von den Kritikern als ein dem italienischen „maestro di maestri” gleicher Virtuose anerkannt. Eines noch größeren Ruhms erfreute sich Henryk Wieniawski (1835

—1880), der Sohn eines bekannten Lubliner Arztes. Sein frühzeitig entdecktes, außergewöhnliches Talent, veranlaßte die Eltern, ihrem Sohn systematischen Musikunterricht erteilen zu lassen. Am Anfang lehrten ihn die besten Lubliner Geigenpieler, später im Pariser Konservatorium, Clavel und Massart. Seine musikalischen Studien beendete Wieniawski mit zwölf Jahren, um als „Wunderkind” seine blendende Virtuosenkarriere als Nachfolge von Paganini und hervorragender Komponist zu beginnen. So wie Liszt und Paganini, spielte Wieniawski fast ausschließlich seine eigenen Tonwerke, was vom schöpferischen Charakter seiner Virtuosität zeugte. Die Lubliner violinistischen Traditionen finden ihren Ausdruck in der Veranstaltung der Festivals Junger Geigenpieler. Den Namen von Henryk Wieniawski tragen die 1898 gegründete Musikgesellschaft und die 1944 entstandene Lubliner Philharmonie, die erste musikalische Institution im befreiten Polen. Vor 6 Jahren wurde auf dem Hause Nr 17 in dem Marktplatz der Altstadt eine den

Geburtsort des Komponisten kennzeichnende Gedenktafel enthüllt. Im vorigen Jahre wurde in Lublin das Henryk-Wieniawski-Denkmal errichtet.

Die Festivals und die Wettbewerbe junger Geigenpieler finden seit 1970 statt. Viele Laureaten dieser Veranstaltungen nahmen an zahlreichen polnischen und ausländischen Wettbewerben teil und gewannen nicht selten Preise. Piotr Milewski erhielt den zweiten Preis im VII. Henryk-Wieniawski-Wettbewerb in Poznań, Teresa Głębowna wurde Preisträgerin im Paganini-Wettbewerb in Genua. Roman Reiner und Krzysztof Smetana zusammen mit dem Kammerensemble nahmen den ersten Platz in dem unter dem Protektorat von Herbert von Karajan in Westberlin stattfindenden Orchesterwettbewerb ein.

Wir wünschen den Teilnehmern an dem Internationalen Wettbewerb Junger Geiger, in der Geburtsstadt von Henryk Wieniawski Lublin, wo ungefähr 30 tausend Studenten studieren, den ersten künstlerischen Erfolg.

Strony opracował Sefan Münch



Jurij Zajcew (ZSRR). Z cyklu „Hatyn”



Adam Roskowiński (Polska). „Wspomnienie I”

Fot. Andrzej Polakowski

# oko- -lice szty- -ki

## Przeciw wojnie

**K**OLEJNA, szósta, wystawa „Przeciw wojnie” na Majdanku po raz pierwszy ma zasięg międzynarodowy, prezentuje obrazy, grafiki, rzeźby i medale artystów z 10 krajów: Austrii, Czechosłowacji, Kuby, Mongolii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Polski, Republiki Federalnej Niemiec, Rumunii, Węgier i Związku Radzieckiego. Pod adresem organizatorów nadeszła im 647 prac, z czego do ekspozycji zakwalifikowano 280. Pierwszą nagrodę w dziale malarstwa otrzymał Józef Łukomski, drugą — Ryszard Lis, trzecią Jerzy Pohl, specjalną — Jerzy Jireudek z Czechosłowacji. Wśród grafików nagrodzono: Andrzeja Kowalczyka (I), Annę Jelonek i Jana Leśniaka (dwie III) i Jurija Zajcewa (nagr. specjalna). W dziale rzeźby najwyższą oceniono realizacje Baldura Schonfeldera (I), Waltera Arnolda (II), — obaj z NRD — oraz Eloda Kecsisa z Rumunii. Pierwszą nagrodę za prace medalierskie otrzymał Edward Łagowski, drugą — Małgorzata Olkuszka, trzecią — Stanisław Strzyżyński.

Z powinności recenzenckiej należałoby teraz omówić szczegółowiej dzieła pokazane na wystawie, sformułować swój stosunek do ich jakości artystycznej, wyodrębnić tendencje zarysowujące się w tym licznym zbiorze. Ale manipulacje te, konieczne i uprawnione przy każdej innej okazji ekspozycyjnej, w przypadku tak specyficznego pokazu mającego charakter manifestacji przeciw wojnie, wydają

mi się nie tylko bezpożyteczne, ale i pretensjonalne, gorzej — zakłamujące sens wystawy. Ograniczę się zatem do stwierdzenia, że autorzy poszczególnych prac z reguły przedstawiali okrucieństwa wojny, korzystając z szerokiego rejestru rozwiązań formalnych sztuki współczesnej i nierzadko w sposób bardzo osobisty, liryczny, czego dobrym przykładem mogą być prace Józefa Łukomskiego, utrzymane zresztą w poetyce właściwej dla tego autora, w której ważne miejsce zajmuje przedmiot gotowy, wybrany z magazynu rzeczy zwyczajnych, towarzyszących na co dzień człowiekowi, lecz, naturalnie, poddany określonym zabiegom artystycznym. Tu także należy wspomnieć o dużym obrazie Ryszarda Lisa, składającym się — najlepsze to chyba słowo — z setek nazwisk więźniów Majdanka, wpisanych w czerwoną, walerowo żółtą i białą przestrzeń płótna. Lubelski malarz także pozostał wierny stylistyce dotychczasowej swojej twórczości, zawsze zresztą eksponującej problematykę moralno-egzystencjalną.

Tak więc dwie czołowe nagrody wystawy otrzymali autorzy prac wykonanych nie „na zamówienie”, lecz powstałych w wyniku ich głębszych, autentycznych przekonań. Fakt ten wypada odnotować z szacunkiem — w szczególności sposobem proporcjonalnym do wielkiej liczby konkursów i wystaw tematycznych organizowanych w kraju i frekwentowanych przez artystów zmieniających swoje zainteresowania, powiedzmy, twórcze, z okazji na okazję, zarzucających nawet uprawiane dotychczas techniki na rzecz zupełnie im obcych, czego smutnym świadectwem mogą być rzeźby parkowe i pomnikowe, nieporadnie wykonane przez wcześniejszych malarzy i tkwiące, niestety, tu i ówdzie w naszym krajo-

Wielu uczestników wystawy na Majdanku podarowało swoje prace galerii, istniejącej od wiosny 1976 roku przy muzeum byłego obozu koncentracyjnego. Dzieła te, kilkadziesiąt autorów węgierskich, wzbogacają zapewne zbiory owej galerii, liczącej obecnie już ponad 500 obrazów, grafik i rzeźb, autoryzowanych nierzadko przez wybitnych artystów. Utworzenie placówki tego rodzaju wypada przy tym uznać za rzecz wyjątkowo mądrą: muzeum na Majdanku odwiedza rocznie ponad 200 tys. osób, z czego około 30 tys. przybywa z zagranicy, z niemal 60 krajów. Obcokrajowcy, którzy trafiają do galerii mieszczącej się w jednym z baraków byłego obozu, mogą przekonać się, że pamięć o latach wojny i okupacji nie jest wcale drugorzędny elementem wyobraźni narodowej współczesnych Polaków. Galeria plastyczna Majdanka jest zatem miejscem ważnym — ale czy dla wszystkich, skoro jej katalog (m.in. 37 reprodukcji barwnych) leżakuje w drukarni już dwa lata?!

Plastyka jest wyjątkowo nośnym i sugestywnym środkiem przekazu prawdy o czasach pogardy. Ten truizm nabrał dla mnie specyficznej świeżości, kiedy 31 sierpnia trafiłem na otwarcie wystawy rysunków i akwarel wykonanych przez więźniów Oświęcimia, którą z inicjatywy Towarzystwa Niemiecko-Polskiego urządziło muzeum w Bochum w swojej filii przy podmiejskiej ulicy Kemnade, rozlokowanej w średniowiecznym bodaj i pięknie położonym zamku, niedaleko autostrady do Düsseldorfu. Pokazano tam m.in. szkice Józefa Szajny, więźnia nr 18729 — Auschwitz, obok jego fotografii w paszliaku.

Na uroczystość przybyło z 300 chyba osób, w tym sporo ludzi młodych: na marynarkach i sukienkach niektórych widniały czerwone goździki. Po przemówieniach ambasadora PRL Jana Chylińskiego, prof. dr. Waltera Fabiana z władz wspomnianego Towarzystwa i pani Annie Fels-Kupferschmidt, członka Prasadiums des Internationalen Auschwitz-Komitees, oraz Martina Walsera — Niemcy przeszli do sal ekspozycyjnych, gdzie w przeciągu dosłownie pięciu minut rozchwytały katalogi wystawy, zaopatrzone w teksty, Willy Brandta, Petera Spielmanna (znakomitego dyrektora muzeum w Bochum, znającego co nieco język polski), Martina Walsera i Kazimierza Smoleńca, dyrektora Muzeum Oświęcim — Brzezinka, które wypożyczyło prezentowane rysunki. Przypuszczam, że dla wielu tych ludzi wystawa okazała się pierwszym kontaktem z autentyczną dokumentacją byłego obozu koncentracyjnego, może tym bardziej dającą do myślenia, że zawierającą także prace więźniów o niemieckich nazwiskach. Przypuszczam też, że interesowali się nią tak bardzo, ponieważ była to dokumentacja obrazowa. Dla niej właśnie popatrywał się również do Bochum z sąsiedniej miejscowości pan Stefański, młody mężczyzna z polskiej rodziny mieszkającej w Niemczech już lat kilkadziesiąt, który łamaną polszczyzną i na migi dał mi do zrozumienia, że na dźwięk naszej mowy „dostaje dziwnych dreszczy”, że dwa lata temu odwiedził kraj — przejeżdżając na rowerze przez Szczecin, Gdańsk, Mazury, Białowieżę, Warszawę i — „oczywiście” — Częstochowę. „Jestem robotnikiem, miód wyrabiam. Polski” — powiedział na zakończenie, wręczając mi złoty słóczek i nie zważając na klaksony samochodów, zachęcające nas do jazdy po autostradzie.

Państwowe Muzeum na Majdanku prezentowało już fragment swojej galerii w Czechosłowacji, NRD i Związku Radzieckim. Wydaje się, że taka działalność naszej placówki warta jest kontynuacji i rozwinięcia.

**P**ALEC generała zatrzymał się przy kolejnym rekordzie. Nie w biegu, nie w skoku, nie w wytopie stali. W igraniu z życiem.

Jeśli ktoś ponad dziesięć tysięcy razy mógł się omylić, jeśli ponad dziesięć tysięcy razy ryzykował życiem — toż jest rekordzistą. Zapisał ich w pierwszym roku pokoju, ostatnim wojny, 1945, aż — siedemdziesięciu dwóch. Najwięcej — 24 — w 5 brygadzie saperów i 23 — w 2 brygadzie saperów.

Generał, który służbę wojacką rozpoczął wtedy, kiedy i ich wcielano do wojska, kończył wojenną szkołę saperów, ma serce do ludzi najczęściej zapomnianych, choć przecież rekordzistów.

Jego palec zatrzymał się przy nazwisku Kasperczuk.

— Mieczysław Kasperczuk. 14 205 min. Zaraz, a ten drugi?

— Bzoma. Stanisław Bzoma, obywatelu generale. 10 670 min.

— Właśnie. Kasperczuk i Bzoma. Sąsiedzi z dwóch wsi, gdzieś na Lubelszczyźnie. Parczew, Ostrów, ten rejon. Pamiętam ich, jak przyjechali na uroczystość dekoracji Krzyżami Kawalerskimi. Kasperczuk, wysoki, tykawy, bez krawata, Bzoma — dużo niższy, eleganższy. Pułkownik, nie mylę ich?

— Nie, obywatelu generale. To Kasperczuk był bez krawata, w koszuli zapiętej na guziczek pod szyją, w swetrze, marynarce.

— Ciekawy człowiek. To nie to, że on nie wiedział, jak być ubranym.

Chwila poszukiwań właściwych słów. Milczy generał, milczą pułkownicy.

— On się po prostu — generał odnalazł właściwe sformułowania — ubrał najlepiej, jak mógł, a jednocześnie — był ciągle gotów do pracy. Coś w nim takiego jest. W każdej chwili robotny...

Pułkownicy zaś doradzali:

— Warto poznać ich obu. Kolegów ze wsi, z wojska. Kasperczuka i Bzome.

Z tymi rekomendacjami zasiadłem nad mapą. Kasperczuk — Jedlanka Stara. Za Ostrowem Lubelskim. Partyzancka republika ostatnich lat wojny. Pisywałem już o niej, o ludziach tu wyrosłych, tu walczących, a także — ginących. Bezdroża. Lubelskie Polesie. Tędy gdzieś pobiegł Kanał Wieprz-Krzna, którego narodzinom towarzyszyłem jako dziennikarz już w roku 1954, gdy wybuchł czyn na dziesięciolecie Polski Ludowej. Ostępy, wykroty, bagniska. Tonęły tu kiedyś krowy, topili się ludzie w poszukiwaniu swoich żywicieli. I tu mieszka Kasperczuk.

Nieco wyżej, na północ, w Tyśmienicy — Bzoma. Tyśmienica. Tu lubelscy wędkarze jeździli przed wojną, co niedziela na ryby. Także nieznanymi mi, rozstrzelany w pierwszym wojennym roku, mój teść, Bolesław Niewęgłowski.

Tuście, bracia saperzy, wyrosli, tuście schowali się po wojennej wielkiej grze. Między Lublinem a Parczewem, Włodawą a Sosnowicą... „Włodawska brygada saperów”. Tak ją wszak nazywał Stanisław Szytko, z tejsze jednostki, działacz ludowy, gdy go poznałem przed dziesięciu laty.

— Tu, we Włodawie, pod Włodawą była formowana 2 brygada, stąd z włodawsko-parczewskich ostępów poszli do niej chłopcy.

I to oni właśnie zarobili dla brygady ten sławny przymiotnik — „warszawsko”.

Rzeczywiście. Nie walczyła karabinem i pepeszą ta brygada o Warszawę. Mimo to, nikt z nas, najbardziej pyskatek i kłótliwych, nie zakwestionuje słuszności przymiotnika.

Warszawska... Która życiem swych chłopców gwarantowała robotnikom elektrykowi i kolejarzom, że pewnie mogą stawiać stopy...

Wtedy, przed laty, Stanisław Szytko wymienił dwa nazwiska kolegów z lubelsko-włodawskiego Polesia, którzy polegli w Warszawie — Piotr Wieliczko z Różanki i Mikołaj Michaluk z Krasówki. Dwóch, dwóch poległo w Warszawie... Tak się przynajmniej wydawało Stanisławowi Szytko, którego syn poszedł także „w sapersy”, do tejsze samej brygady, co i ojciec.

Dzisiaj wiem, że Szytko wykazał nadmierną skromność. Ze włodawskich chłopaków poległo w Warszawie o wiele więcej. Ze oficjalnie z

brygady poległo „na minach” — jak zwykło się wtedy mówić prosto i obrazowo — 136 chłopców.

Przy okazji penetrowania saperkiego tematu i dokumentów brygady natknąłem się na meldunek o śmierci Piotra Wieliczki. Zginął on wraz z Janem Czarneckim i Karolem Lebiodą w rejonie ulic Wolskiej i Płockiej w Warszawie. Kobieta, nazwiskiem Mączyńska zawiadomiła ich, że na stosie węgla palą się miny. Saperzy pośpieszyli w kierunku owego miejsca. Niestety, nastąpił wybuch min ezolgowych. Zgineli wszyscy trzej i Mączyńska. Stało się to 7 lutego 1945 roku. Poległych saperów pochowano na cmentarzu powązkowskim. Byli wśród tych 136 żołnierzy 2 Brygady Saperów, którzy życiem zapłacili za rozminowanie.

Poległ co dziesiąty żołnierz z brygady. Choć nie byli na froncie.

Te myśli towarzyszą mi, gdy piszę listy do Kasperczuka i Bzomy, by uczulić ich na żołnierskie wspomnienia, kiedy zapuszcze się na drogi nienajwyższej kategorii, prowadzące do ich Jedlanek i Tyśmienic.

Ucieszyłem się bardzo Pańskim listem. Dziękuję za pamięć i serdecznie Pana zapraszam w wymienionym przez Pana terminie. Z Bzomą porozumiem się, a nawet możemy odwiedzić wielu innych żołnierzy z 2 Brygady Saperów — odpowiadał mi przy pomocy maszyny wiejskiego nauczyciela Mieczysław Kasperczuk.

Skontaktowałem się z Kasperczukiem i uzgodniłem, ażeby Pan (jeżeli by to Panu odpowiadało) przyjechał do mnie, to znaczy do Tyśmienicy, gdyż w mojej wiosce jest nas aż pięciu z 2 Brygady saperów, a on i jeszcze jeden kolega mieszkający na Jamach przybyli by do mnie, było by nas większe grono i większa dyskusja. A jeżeli by pan chciał koniecznie do Kasperczuka do Jedlanki Starej, to ja w każdej chwili przybędę do niego rowerem... — to z listu Stanisława Bzomy.

Nie zależało mi na większej dyskusji. Poznaję, chcę poznawać sa-

Tedy zrezygnowałem z tłumy, w sobotnie popołudnie zjawiłem się w Jedlance Starej, u Mieczysława Kasperczuka.

Notabene sztabowe wykazy podają jego nazwisko inaczej — „Kasperczyk”. Ale i Bzoma nie ma szczęścia do właściwego pisania nazwiska. Historycy — cywilni i wojskowi — publicyści raz piszą go jako „Broma”, innym razem jako „Brzoma”, albo „Bzoma”. Najtrudniej przyjąć najprostszą pisownię — Bzoma.

żarze — domu swego i stodoły, przy struganiu futryn do okien, po które w niedzielny poranek przyjadą z trzecej wsi.

— Wojna to przede wszystkim walka o byt — jemu się zdaje, że niemal wykrzykuje wyhodowaną w pustelniczych godzinach myśl, a ja — ledwie ją słyszę. Nie dlatego, że przeskakujemy z kępki na kępki traw, przekonani, że suchsze one od niżej położonej roślinności.

Cheć replikować, powiedzieć coś o wielkich racjach ustrojowych,

je utoczy i powołutku zechce podać w stonowanej i ściszonej formie.

Jeszcze raz, to już chyba jednak przy kuścyczku, który stał się — używając jego i Bzomy języka — sūrpryzą, dzięki świeżym i znakomitym rybom, przed chwilą złowionym na włodawskim pojezierzu, powie o swoich powojennych doświadczeniach.

— Nie można w urzędzie i biurze, w fabryce udawać mądrzejszego od urzędnika, czy dyrektora. Nigdy wtedy nie załatwia. Pokora i głupota klienta otwiera mu wszędzie drzwi...

Nie wiem początkowo — drwi czy mówi poważnie? Przy stole jednak siedzi pełen energii młodszy brat, wojujący z różnymi instytucjami, no i ja, którego ktoś tam przez pomyłkę owemu bratu przedstawił jako „osobę urzędową”. Figliki migają w oczach Mieczysława. Jakby się chciał poprawić.

— Nie musi się być głupim. Wystarczy udawać...

To już doświadczenia pokojowych lat z różnymi urzędami, na różnych wysokich, lub wydumanych wysokich szczeblach. Przecież, wtedy, na wojnie, zaraz po wojnie...

— Nie udawał pan głupiego w brygadzie?

Znów figliki w oczach. Kręcenie głową. Nie przekrzykuje gwaru tych, co samoobronnie krzykiem zagłuszyć chcą i własne niespokojne, niesforne myśli.

— Nie — przebija się jednak przez wrzask. „Nie” niepojmowalne przez uczestników rybnej biensady.

Lowiac przeto poszczególne słowa i zdania, z dwóch dni i jednej nocy wzajemnego obcowania, w różnych warunkach — u niego w domu, w pieszej wędrowce, późną nocą i rankiem w kolejarskim ośrodku, podczas jazdy samochodem i wreszcie we wsi Bzomy, w czasie oczekiwania na niego i potem w trakcie rozmowy, uzupełnianej ripostami Kasperczuka — kleciłem opowieść tego sapersa. Kleciłem i... kleciłem jego obraz.

Zmobilizowano go we wrześniu czterdziestego czwartego. Przyszedł do Włodawy. Początkowo zanosilo się, że będzie artylerzystą, potem jednak trafił do saperów, do formowanej 2 brygady w pobliskiej Różance. „Sami się żywiłiśmy” — rzucił Kasperczuk mimochodem w rozmowie po latach.

Sam. Z każdym dniem puchło Wojsko Polskie — w dywizje, brygady, pułki, bataliony, nie starczyło wszakże przydziałów żywnościowych. Normy dzienne były słuszne. Rzecz w tym, że ledwie skromniutką jej część było w stanie zapewnić rolnictwo wyzwolonych obszarów. Latano nadal przydziałami radzieckimi, także skapiutkami.

„Nieprzyjacielem” więc stawało się i pole kartofli. Kandydaci na saperów ruszyli na nie ostro; chłopcy synowie z najbiedniejszych ziem wyrosli w prawdzie ojców, że gdy jest ziemniak — nie ma głodu.

W jednym z majątków — już nie obszarniczym, a jeszcze nierozparcelowanym — przyszli saperzy natknęli się na dziwną sytuację. Miejscowy ksiądz pełnił rolę karbowego. Jak tu z osobą duchowną targować się o parędziesiąt kilogramów ziemniaczanych bulw. Tedy Kasperczuk głośno przypomniał myśl, powtórzoną przez szkolnego katechetę:

— Głodnego nakarmić...

Ksiądz-karbowy roześmiał się, pochwalil rezoluta.

— Kopicie chłopcy. Najedzony kartofla by nie przagnął.

To więcej niż skromne wyżywienie pomagało wszakże trwać podczas długich godzin nauki — teoretycznej i praktycznej. Chłonęli wiedzę o minach — niemieckich i radzieckich — otwierali usta, gdy im uczenie udowodniano, jak mosty stawiać się winno. Uczenie, bo wielu z nich, jak choćby Kasperczuk, bez wyliszeń statystycznych pojmowało ową sztukę praktycznie. Siekiery nie raz w dłoniach trzymali i przy wznoszeniu małych mostków, kładek.

Potem — była przysięga.

(c.d.n.)

Z książki pt. „Nieomylni” — Saperskie opowieści” przygotowanej dla Wydawnictwa MON.

# Saper z Jedlanki

Alojzy Sroga

społecznych i nagle czuję, że trafność myśli zatyka mi usta. Bo czymże była dla nas, Polaków, druga światowa?

Matula go uczyła kochania Polski. Matula była mu wyrocznią nie tylko w czterdziestym czwartym, gdy we wrześniowe dni poszedł z poboru do wojska. Matula była samą sprawiedliwością i wtedy, gdy ktoś z otoczenia chciał go skrzywdzić.

Mieczysław Kasperczuk jest wysoki, szczupły, żeby nie powiedzieć — chudy i szczapowaty. Ma, w te ostatnie lipcowe dni roku 1978 — 56 lat. Jest stolarzem, podobnie jak ojciec — stolarz i rolnik, który pojechał do Argentyny w 1928 roku i nigdy już z niej nie wrócił. Życiem przepłacił marzenie o dostatkach dla siebie i rodziny.

— A matula zmarła w 1971



Fot. Trachman

perów nie w wielkiej zbiorowości, a każdego pojedynczo. Pytać go o jego strach, o jego wspomnienia, o jego kompleksy, słuchać jak i co mówi, notować melodię jego mowy, a jeśli już przyjdzie wypić — to po kuścyczku z każdym oddzielnie. Bo jak tłumia mój kolega, pisarz Władysław Mileczarek, wrześniowy podpolewacz, żartobliwie zwany „pułkownikem” — najlepiej przy kieliszku wódki, jak się ją pije — poznaje się człowieka.

Zwa tym, co tu kryć — byłem ciekaw szczególnie Kasperczuka, który umię lekceważyć konwenanse, który po wielkie odznaczenie przyjeżdża bez krawata, bo — jak mówi celnie general — jest robotny. Zawsze gotów do pracy.

roku — wyszeptał mi, gdy o rosie, wieczorem, z luksusowego ośrodka kolejarzy, wracamy do jego chaty, wydeptana — steczka.

Nie powie inaczej o ścieżce, jak właśnie — steczka. Jak na całym lubelskim Podlasiu, jak słyszałem przed wielu, wielu laty.

Skaczymy przez rzeczkę, brodzimy w mokrych trawach. Muszę dobrze nadstawić uszu, bo Kasperczuk krzyżeć nie może, wszystko mówi szeptem i jeszcze — jak na złość, nie uwielbia wizyt u dentysty. Raczej woli poświęcić trzy — cztery kolejne zęby, niż wcześniej pójść na fotel. Tym zaś swoim szeptem wypowiada myśli ciekawe, zrodzone w samotniczej pracy, choćby przy stawianiu — po po-

Wypowiada jeszcze raz swój ogromny żal.

— Bo gdy matula zmarła...

Po godzinie, dwóch, trzech wchodzi powoli w ten inny rytm życia, inne słownictwo, spokojniejsze i bardziej refleksyjne odbieranie współczesnego życia.

Ustępuje początkowy pośpiech w notowaniu faktów, w obracaniu piórem. Zdaje cię coraz bardziej na pamięć, zwłaszcza... zwłaszcza, gdy przekonuje się z jakim fenomenem utrwalania faktów i nazwisk mam do czynienia.

„Nie jest typem gawędziarza, co to złoto słów sypie mu się z języka. Niemal każde zdanie trzeba zeń wydłubić, lub czekać cierpliwie, aż

# Chłopiec do bicia

Istvan Grabowski

**L**ATO poza nami, a wraz z nim dobiegła kresu festiwalowa gorączka ujawniająca co roku wszystkie niedostatki rodzimych artystów estradowych. Liczba ogólnokrajowych festiwali (nie licząc tych pomniejszych) urosła już do sześciu, a koszt globalny tych przedsięwzięć waha się w okolicy 150 milionów złotych. To nie mało zważywszy, że w gruncie rzeczy festiwale niczego nie dają. Nie przyczyniają się bynajmniej do rozśpiewania młodego pokolenia (ba, istnieje nawet obawa, że w dzisiejszej dobie młodzież ogłuchnie nam

Głębokie przekonanie o rzekomym talencie, sile przebiecia i ogromnym popycie na piosenkę zastępuje myśl o potrzebie dalszego kształcenia ledwie co ujawnionych zdolności. Dochodzi wręcz do paradoksów, że niektórzy artyści przez trzy lata objeżdżają kraj z tym samym programem, powielając stokrotnie jego taniutki scenariusz, do znudzenia przypominając jeden lub dwa przeboje. Przykłady Rosiewicza, Laskowskiego czy Waweli są aż nazbyt wymowne. Wcale nie przesadzam stwierdzając, że piosenkarzem może teraz zostać

konaniu gromionej rozrywki, wyciągają ciężkie działo: istnienie przy katowickiej PWSM wydziału rozrywkowego. Rzeczywiście wydział taki istnieje, wypuszcza nawet kwalifikowanych absolwentów, ale cóż z tego? Pytanie nie jest pozbawione sensu. Zechciejmy tylko zauważyć, że, jak do tej pory, z murów katowickiej uczelni wyszły trzy nazwiska: Krystyny Prońko, Leonarda Kaczanowskiego i Stanisława Sojki. Przy czym, wspomniana trójka nie jest w stanie zmienić krajobrazu polskiej piosenki.

Mówiąc o muzyce rozrywkowej stosujemy zwykle mało adekwatne do rzeczywistości porównania z Zachodem. Niejeden młody człowiek zachwycając się piosenkami Roda Stewarda, Abby czy Smokie dostrzega przepaść dzielącą naszych wykonawców od renomowanych sław brytyjskiego, bądź amerykańskiego rynku. W istocie nie jest ona zbyt wielka, bo i my mamy znakomitych artystów, tylko nie zawsze dostrzegamy w porę tych najzdolniejszych i nie wszystko potrafimy wzorem Anglików zareklamować. Wcale nie jest złudzeniem twierdzenie o istnieniu w naszym kraju wielu prawdziwie utalentowanych młodych wykonawców, którzy nigdy pewnie nie zdołają rozgłosu Krawczyka, Jacka Lecha i Happy Endu, jakkolwiek ich „amatorszczyzna” o kilka klas przewyższa pienia okrzyczanych sław. Potwierdziły to zresztą tegoroczne konfrontacje sopockie „Pop Session”. Obecna prognoza polskiej piosenki smuci ogromnie zapalonych sympatyków dobrej muzyki i wywołuje dezaprobatę dla animatorów naszego przemysłu rozrywkowego (o ile o takim



Rosiewicz dowiódł, że piosenkarzem teraz może zostać przeciętny człowiek z ulicy...

Fot. Jacek Awakumowski

do reszty), nie wylawiają, ani też lansują młodych talentów, bo ich brak przynajmniej na dużych scenach, a za to robią klakę wykonawcom dawno wylansowanym nabijając tylko licznik autorskich honorariów dobrze już zaopatrzonych finansowo twórców rozrywki. Chyba nie jest przypadkiem, że każdego roku widzi się w Opolu, Sopocie, Kołobrzegu te same twarze.

Z pliku wycinków prasowych dostarczanych przez „Głob” widać, że lamy prasy kulturalnej i młodzieżowej są od pewnego czasu areną zażartych dyskusji nad kształtem polskiej rozrywki. Wypowiadają się różni ludzie bardziej i mniej kompetentni i kto może wiesz na estradzie psy. Estrada stała się przysłowiowym chłopcem do bicia. Najczęstszymi zarzutami padającymi pod adresem wykonawców są: brak przygotowania fachowego i bezmyślne pozostawianie na tych samych pozycjach, szczególna skłonność do utworów przesadnie łatwych, wręcz tandetnych, brak dobrego smaku i objawianie tego słuchaczom kolejnymi koszmarkami, dzielkami jak ze złego snu. Trudno by dziś znaleźć lekarza, architekta czy inżyniera, który nie zgłębiałby potrzebnych mu wiadomości, nie podnosił swych kwalifikacji. Tymczasem rasowy radiowiec nie dba o takie rzeczy.

każdy, przeciętny człowiek z ulicy, ba nawet liczyć na pełne powodzenie jeśli jeszcze na grono sprzyjających mu osób, które mogą ułatwić start na radiowej bądź telewizyjnej antenie sukces ma murwany. Właściwie przychodzi on nie wiadomo kiedy. Przyjaciele poprą kandydaturę przyszłego gwiazdora na festiwal. Tam dzięki znajomościom otrzyma nagrodę lub choćby wyróżnienie, a recenzje spragnieni nowych sensacji napiszą kilka ciepłych słów. W końcu otwierają się upragnione bramy „Polskich Nagrań”, ukazuje się w sklepach duża płyta z nazwiskiem adepta rozrywki i gwiazdor ma sławę „z głowy”. Może teraz swobodnie brnąć w chałturę, bo na więcej go nie stać. To, że nie czyta nut, ma podstawowe braki warsztatowe w intonacji, emisji, dykcji i interpretacji, nie jest wcale ważne.

Nie wiem skąd utrwaliło się w kręgach estradowych fałszywe zgoda przekonanie, że młodzieżowy odbiorca kupi wszystko, nawet największą chałturę. Wiara w to rozgrzesza jakby wykonawców, zwalnia ich z obowiązku wysokiego poziomu, zaniża poprzeczkę wymagań stawianych samym sobie, a w efekcie czyni z piosenkarzkiego produktu niestrawną papkę.

Kiedy mówimy o braku szkolnictwa estradowego, zwolennicy obrony zanadto w ich osobistym prze-

można już mówić). Niejednemu z nas marzy się utalentowany ze wczesnym piosenkarz dysponujący oprócz dobrego głosu i umiejętności operowania nim w profesjonalny sposób, także dobrym smakiem artystycznym, łatwością nawiązywania kontaktu z publicznością, a nadto znający biegle języki obce. Niestety jak dotąd, nie dochowaliśmy się ani jednego „talentu na miarę gwiazdy”, który mógłby spełnić powyższe postulaty. Skoro nie mamy wykształconych piosenkarzy, niechże zajęliby się śpiewem aktorzy. Wszak sławne w świecie aktorki Liza Minelli, Barbara Streisand, Jane Birkin czy oglądana niedawno na ekranach lubelskich kin w „Kaskaderze” Raquel Welch święciły wielkie triumfy jako znakomite wykonawczynie rozrywkowych piosenek. Nie wiem dlaczego polscy aktorzy, jakkolwiek posiadający niezłe głosy, nie pała się do estrady, traktując ją nieustannie jako coś gorszego od teatru, filmu, telewizji. Edmund Fetting, Andrzej Szajewski, Alina Janowska, Andrzej Stockinger, Elżbieta Starostecka, Bogdan Łazuka, Kalina Jedrusik, a ostatnio i Roman Frankl to nazbyt sporadyczne i potwierdzające regułę wyjątki.

Od kilku lat mówi się u nas coraz głośniejsze o potrzebie gruntownej reformy polskiej rozrywki. Nabrzmiących i trudnych do łagodnego rozwikłania problemów zebrano się aż nadto, bo to i szkolnictwo, fonografia, promocja wykonawców, honoraria za występy (nie takie znów duże) i masę innych kłopotów. Sprawa estrady była tematem wielu ministerialnych (i nie tylko) porad, konsultacji, ale widać nie dojrzała jeszcze do rozwiązania. Miejmy więc cichą nadzieję, że problem doczeka się radykalnych zmian. Nadchodzi ku temu pora.

## Między okładkami

Julian Tuwim: „Listy do przyjaciół — pisarzy”

Czytelnik 1979 r., st. 438, cena 85 zł.

Julian Tuwim napisał niespodziewanie wiele listów. We wstępie do tej książki, Tadeusz Januszewski informuje, że około siedmiuset, które się udało dotychczas zebrać, to zaledwie połowa tego, co przypuszczalnie jeszcze się znajdzie. A i to nie będą wszystkie. Ale nie ważna jest arytmetyka. Zdumiewa w nich łańcuch twimowski stosunek do słowa — dowcip, lekkość, onomatopoeiczność, kto wie, czy miejscami nie przewyższające słownych fioritur „Słotwien”. Np. Tuwim pisze, że miły jest mu wyraz „rekonwalescencja”, bo „w środku ma trochę konwali”. A Galczyńskiego pozdrawia „z głębokim wytrybulizmem” — od wyrażenia angielskiego „very truly”, co oznacza „z prawdziwym poważaniem”. Jest w tym zdumiewająca rozrzutność. Bo czytelnikiem listu jest tylko jego adresat, a pomysłu raz wykorzystanego nie można powtórzyć w tekście innym. Ale to już Tuwim. W tych listach lepszy od niejednego Tuwima — autora wierszy, któremu zdarzyło się kiedy niekiedy puścić i katarynke.

Zbigniew Nienacki: „Uwodzieleń”

Wydawnictwo Pojezierze, 1978 st. 424, cena 50 zł.

Powieść budzi tzw. mieszane uczucia. Napisana jest dobrze, więc wszystko, co powiedziałyby się krytyczne o jej spojrzeniu na sprawy ludzkie, rzutowałoby na jej stylizację i sprawną ryzystykę intelektualną, co nie byłoby uzasadnione. Sek jednak w tym że u Nienackiego główną sprawą ludzką jest seks. Owszem, rzekomo podniesiony do stopnia przeżycia duchowego, rzekomo uszlachetniony, rzekomo „ufilozoficzny”, ale właśnie tylko rzekomo. Bo mimo wszelkich problematyzowań jeśli autor w trakcie choćby najszustniej przeprowadzonego wywodu bezceremonialnie rzuca nazwę całkiem konkretnie określonego organu męskiego lub kobiecego, cały urok przyska, mamy tylko zabieg pour'epater. Nienacki postępuje tak, jakby sądził, że odstawiając genitalia zdziwna zasłona pruderi okrywająca „te rzeczy”, Panseksualizm naiwny. Wszystko oparte na współzyciu płciowym. Na tej zasadzie możemy uważać, że zasadniczym warunkiem powstania dajmy na to „Krytyki czystego rozumu” było przyjmowanie pokarmów, bo gdyby Kant nie jadł, to by nie był, a więc i nie pisał. Jest tu też i sporo sofistery. Np. jeden z bohaterów „Uwodzieleń” dowodzi, że „zmieniając dziewczyny” jest w zupełnym porządku, ponieważ istnieje kobieta — matka ośmiorga nieślubnych dzieci, z których większość musi być chowana na koszt państwa, a więc i z tego, bohatera, podatków jako że kobieta niezamężna tyle dzieci wychować nie może, on zaś takiego ciężaru państwa nie przysparza. Możliwe, że zmieniający dziewczyny jest w porządku, ale ta rzecz zamyka się wyłącznie w obrębie on — jego partnerki, natomiast matka ośmiorga nieślubnych dzieci żadnej roli w tym nie gra. Inaczej musielibyśmy rozgrzeszyć kieszonkowców z tego powodu, że istnieją kaslarze.

Na obwołanie powiedziane jest, że Nienacki, który dotychczas stworzył panteon uwodzieleń, tym razem jakby zaprzagnął odnokutować przewiny przedstawiając bohatera, który zdobywa kobiety bez uwodzenia. Nieprawda: Nienacki chciał rozkochać „szerokością spojrzenia” i nawet by mu się to udało, gdyby nie demaskacja — ce ten zamiar seksualne weredyzmy. A panteon uwodzieleń” to jako określenie coś wręcz paradnego. Nie seria, nie galeria, lecz panteon. Może wkrótce przeczytamy o Olimpie oszustów.

Bogdan Wojdowski: „7 opowiadań”

PIW, 1978, str. 224. Cena 25 zł.

Obwołana się rzadką siłą wyrazu, obrazowością, autentyzmem i prostotą przy wyrafinowaniu środków stylizacyjnych”. Przyznam się, że tak bym jej nie zarekomendował dając książkę komuś do przeczytania. Moim zdaniem Wojdowski pisze tak, jakby mu chodziło o uniemożliwienie oceny. Bo na dobrą sprawę to piarstwo niespełnione. Z tego przyziemienia nie wynika Faulknerowska ciemność, z tego naturalizmu — Hemingwayowski behaviorizm, z tego determinizmu — Camusowski moralizm. Więc zajęta, że nie kopiuje! Nie chodzi o nasładowanie. Rzecz w tym, że Wojdowski nie doprowadza swych wątków do logicznie skończonych konsekwencji, chce ominąć jednoznaczność „filozofic” enigmatycznym „zyciem”. Typowy przypadek intelektualisty, eseisty, krytyka, który sięga po pióro beletrysty. Znany jego tom szkiców teatralnych „Próba bez kostiumu”. Tam autor znacznie lepiej się wypowiedział, aniżeli w nowelach, ujętych w tomach „Wakacje Hoba” oraz „Maly człowieczek, nieme ptaszki, klatka i świat”. Wyszło to spod pióra kogoś posiadającego w ogóle kulturę literacką (biograficznie nie zabezpiecza przed dużymi, a nie specjalnie twórczością fabul i fikcją. Lust za fabulera — nie stwierdzono. Przykładem niech będzie temat żydowski, przy którym dzieło, ale czytelnik nie odbiera nuty martyrologicznej. Ten chłód nie staje się parzącym mrozem. Pozostaje dystansem, intelektem, literackością.

**J**ĘZYK literacki (jeśli o takim, jako o kategorii filozoficznej można jeszcze mówić) zachował parę idiomów: „kawiarniany styl myślenia”, „nie jest to powieść dla dorastających panienek”, „po sztubacku”. Nazywam te zwroty idiomami, ponieważ już dziś nie odpowiada im żadna rzeczywistość, jak żadna rzeczywistość nie odpowiada zwrotom „śleehapek”, „szyć komuś buty”, „pisać na Berdyczów”. Dlaczego? A no...

Ad „kawiarnia”. Kiedy kilku panów w getrach, jeden ewentualnie z laską, rozglądający się po sali i wybrawszy najodpowiedniejszy stolik ucieło sobie pogawędkę o literaturę, teatrze, aktorach i nie aktorach, a pogawędka była prowadzona w sposób nie nadmiernie zgodny z logicznymi wymogami dyskursu i prawidłowości skojarzeń, możemy mówić o kawiarnianym stylu traktowania spraw kulturalnych i obyczajowych. A jak to wygląda dzisiaj? Stoliki upchane co do jednego, drzwi nieustannie trzaskają, tasując energicznie szarżujących na miejsca ze zrezygnowanymi, którzy dali za wygraną i wychodzą, młodzieżowe grupki przekrzykują się slangiem, który nabrał już tyle cech autonomicznych, że zaczyna być przedmiotem badań językoznawczych. Prowadzić w tych warunkach kawiarnianą rozmowę. Ale zwrot pozostał i jeśli się komuś chce zarzucić brak myślowej precyzji, odsemantyczniona owa kawiarnia wchodzi w szranki polemiczne.

Ad „dorastające panienki”. Krytyk literacki chcąc obronić pewną niekonwencjonalność obyczajową, czy nawet światoburezość omawianej powieści mówi, że nie jest to książka dla dorastających panienek. A gdzie dziś są te dorastające panienki, te z okresu pozytywizmu (bo wtedy zwrot powstał)? Już nie pamiętam, kto z powodu Saganki powiedział, że obecnie osiemnastoletnie dziewczęta piszą powieści, które na dobrą sprawę nie powinny się im pozwolić czytać. A było to dwadzieścia lat temu. Dziś „dorastająca panienka” w towarzystwie kilku

kolegów i koleżanek udaje się wypoczynką zagłówką na biwak, bynajmniej nie fatygując się w mówić rodzicom, że jedzie odwiedzić chorą, przykutą do łóżka przyjaciółkę. Ale „dorastająca panienka” została w słowniku obiegowych zwrotów krytyczno-literackich i „funkcjonuje” w recenzjach.

Ad „sztubak”. To ma być ten nie-dorosły i wymagający prowadzenia.

## W KRAJOBRAZIE SŁÓW

# Dorastające panienki wołą biwaki

Zygmunt Mikulski

Może tak myśleć tylko ktoś, kto nie zetknął się z — wybaczenie, powiem otwarcie — cwaniactwem młodzieży dwunasto-, piętnastoletniej. Kto nie usłyszał o sobie jako o „sarkofagu”, „wapniaku”, kto nie wie, że „rzuc wapno na druty” znaczy „poprosz tatusia do telefonu”. Te określenia wyszły już z użycia, ale nie ludźmy się, że młodzieżowa „pomysłowość” nie wprowadzi następnych. A więc co dziś znaczy „po sztubacku”?

O paradoksie, żeby dziś wyeksplikować zjawiska literackie terminami socjo-obyczajowymi, musimy zaczerpnąć je z epoki poprzedniej. Czyli socjologia kultury nie wytworzyła jeszcze właściwego obrazu tejże kultury odbiorcy, komparsa, kibica, sojusznika. W czym rzecz? Czy w tym, że nie uzyskała odpowiedniego materiału? Czy uzyskany materiał uznaje za przejściowy i nie charakterystyczny dla epoki, która jeśli ma doznać mutacji, nie wystarczy jej na to dwadzieścia lat?

Jest coś dziwnego, w tym, że operujemy zwrotami sprzed półwiecza, dawno się już rozstawszy ze szczotką do zamiatania na rzecz odkurzacza, z wiecznym piórem na rzecz długopisu i flamastra, ze strzałką u samochodu na rzecz mrugającego światła.

Ale nie tylko terminologia nie może wejść w kontury współczesnego życia, bo również problematyka.

przeszła towarzyszyć zwalniająca pole dla sporadycznych robinzonad. Inaczej cóż: czy jedna wypowiedź jednego krytyka choćby najbardziej wątpliwa, choćby najbardziej sówdzalska była w stanie wywołać aż taką reakcję? Byłaby co najwyżej jedną z wielu pomyłek, jakie w trakcie normalnego postępu życia krytyczno-literackiego i tak by popełniono. Ale jeśli się taka wypowiedź pojawia raz na dziesięć, piętnaście lat, nie dziwnego, że w mianowniku swojego znaczenia posiada ten gigantyczny diapazon czasu i przez to urasta do rangi in spe tekstu kanonicznego. Wtedy wszyscy czują się zobowiązani zając stanowisko. Dobrze, ale lepiej niż zając jest zajmować. W sądownictwie nie, ale w krytyce literackiej tak.

O ileż prościej (w znaczeniu: sensowniej) bywało. Już nie mówię o takich czysto turystycznych wycieczkach, jak Świętochowskiego „Poeta jako człowiek pierwotny”, która to rozprawka rozwija (pewną prawdę nie nadmiernie odkrywając) tezę w sposób choć personalnie bezkonfliktowy, to nie pozabawiony oddziaływań intelektualnych, ale Młoda Polska, ale dwudziestolecie! Feldman, Brzozowski, Boy, Irzykowski, Wyka, Miciński, Frydel. Pewnie, że każdy z nich miał wyrażnie spolaryzowaną rzeczywistość, dzięki czemu to, co się nazywa siatką pojęć krytyczno-literackich było łatwiejsze do nałożenia. Ale swoje pole, czy poletko każdy uprawiał i chociaż bywały worywania się w cudze, jak np. Irzykowskiego „Beniaminkiem” w Boy’a (daj Bóg więcej takich sporów a między), to paralelizm między rozwojem życia a refleksyjnością krytyki istniał wyrafinowany. Dziś musimy się te dwa ciągi przystawiać do siebie, objąć wspólną nomenklaturę. A też nie wiadomo czy się uda. Sztubaki wcale nie chcą ponownie zainwalczyć, kawiarnie — przyjąć starszych panów, a dorastające panienki — zrezygnować z biwaków. Trudno, świetnie, czyli niestety brawo. Howg.

# Klimat provincji

Karol Mucha

**K**AZIMIERSKI rynek latem. Sierpień. Stragany, na których szeleszczą zeszloroczne makówki. W słojach ogórki kiszzone z pierwszych zbiorów — po 2 złote sztuka; na kilogramie zarobek mierzony w setkach procentów. W kamieniczce Przybyłów otwarte okna bo upał. Cienie i światło rysują ten sam, co zawsze ornament. Za oknami Urząd Miasta i Gminy. Ślad widok na cały rynek z wieczną pompą na środku i chwilową grupką wycieczki.

Nie się nie dzieje. Młodej plastyczce spadł liść na karton. Dziewczyna nie strąca go. Jest dzielony. Szkic szary, w tuszu. Mimowolny dysonans kolorów. Dziewczyna podnosi do oczu pędzelek i na oko mierzy proporcje kamieniczki, przenosi je na arkusz. Przechodzi Cyganka i omija trzy starsze panie, które zakupiły w aptece spirytus kamforowy. Emocjonują się.

— Cała Warszawa nie ma.  
— Po ile?  
— Po dwie dają.  
— Na co to?  
— Na nogi.  
Jedna odchodzi do apteki. Wraca.  
— Cztery buteleczki kupiłam.  
— Oeb, to ty odwataliejsza. Patrzcie, prowincja ma a cała Warszawa nie ma.  
Cyganka podchodzi do kogoś młodszego.  
— Dobrze wróże.  
— Mam forse tylko na bilet powrotny.  
Cyganka odchodzi.

Plastycy z pleneru rysują rynek na kartonach, na płótnie. Jedna z dziewczek rozstawiła sztalugi w głębi placu. Rysuje farę. Warszwawscy i śląscy turyści oglądają wystawy w podcieniach. Obrazy nie idą. Turyści wybierają się na wycieczkę. Ktoś mówi:

— Pójdziemy na basztę Sybilli.  
Kilka dni temu, przed południem, na schodkach pod domem SARP-u wystąpił z krótkim programem poetyckim anonimowy aktor — student z Wrocławia. Ubrany w białą opończę z kapłanem, recytował Kochanowskiego. Reja, poezję sowidzalską, anonimów średniowiecznych i renesansowych. Samorzutnie, społecznie recytował. Ludzi zainteresował niespodziewany aktor na rynku.

Plastycy siedzący obok pamiętają go. Siedzą, jak siedzieli wtedy, głoszą szczeniaki od rudej sukki setera. Jeden jest czarny. Czemu? Bo ojciec niezłany. Szczenięta gramolą się do mlecznych sutek. Jeden zasnął na kolanach brodacza. Obrazki nie idą, jak nie szły i wówczas.

— To było nawet ciekawe — mówi brodacz. — Ładnie recytował. Nie jakiś amatorski wygląd, zgrabnie mu szło. Przebiegał się na oczach publiczności. Krótki występ w rodzaju średniowiecznego trubadura, minstrela. Ludzie przystawali zafascynowani. Podobało się.

Scenografię miał prostą — ramka z desek, zasłona i namalowany na niej trefniś dworski. Ustawił to na schodach

do SARP-u. Przedstawienie było krótkie. Z okien Urzędu Miasta i Gminy zobaczono tłumek, samotnego artystę i szybko ustalono, że w UMIG nikt nie dawał zezwolenia na podobny występ. Naczelnik interweniował. Ale publiczność podobała się staropolszczyzna, ładnie recytowana. A poza tym coś się na tym nudnym rynku działo. Nie każdy ma szczęście obejrzeć festiwal kapel i śpiewaków ludowych. Z urzędowego punktu widzenia współczesny trubadur się nie przyjął dlatego, że tamował ruch. Publiczność protestowała, że przecież ruchu nie ma. Oficjalne zdanie jest takie, że gdyby występował nie na rynku, ale w Domu Kultury — proszę bardzo.

Do Domu Kultury przyjechał na początku sierpnia „profesor” Stanisławski. Wziął 5000 zł. Po tyle samo w dwóch jeszcze domach wczasowych. Później z imprez odbyła się prelekcja o wściekłości kotów. Puszczano film kolorowy na temat, ale kopia bardzo złyta. Sprawa dla miasteczka poważna, bo dotyczyła higieny, tylko z kulturą mało miała wspólnego.

— Gdyby on chciał tu wystąpić, to tylko społecznie — mówi jedna z instruktorek Domu Kultury.

— Musiałby to załatwić oficjalnie. Trochę by potrwało, bo mamy plan. Trzeba by się zarezerwować, rozprzedać bilety, reklamę zrobić w domach wczasowych — odpowiada druga pani.

Ciekawe, jaki jest plan?  
— Do połowy lipca, no to festiwal, bo jeszcze porządkowanie długo trwało. Później Stanisławski był i ta prelekcja. A co teraz, oprócz picia kawy w pustym lokalu DK?

— Teraz, na razie nie.

Na pustym rynku w Kazimierzu nad Wisłą nie ma trubadura i nie będzie. Zostaje cisza i martwość letniego sezonu. Nawet na gitarach nikt nie gra. Też się nie przyjęło. Za to po dziesięćtej w nocy, gdy zamykane są lokale, na rynku ruch. Niedopićli wczasowicze wyruszają do domów. Naczelnik UMIG ma hałasów powyżej uszu, stali mieszkańcy Kazimierza też. Wydano odpowiednie zarządzenia, by zachować ciszę. Przy okazji oberwał wsółczesny Wajdelota. W klimacie prowincji ojaństwo i kultura idą pod ten sam miotek. Ale Kazimierz i prowincja? Też coś...

# PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 75 LATY

Mamy do zanotowania ciekawą wynalazek Polaka, pana Bolesława Rüdigerza; są to konserwy w puszkach blaszanych, urządzone w ten sposób, że w każdej chwili w najniewygodniejszej nawet pozycji, zawartość puszek można doprowadzić do wrzenia, bez potrzeby rozniesienia ognia. Zwykła cylindryczna puszka posiada w środku blaszaną rurkę, napełnioną w 4/5 niegazowanym wodnym a w 1/5 wodą. W chwili, gdy zajdzie potrzeba spożycia gorącej strawy, wypada tylko wywinąć pasek blachy, którego koniec umieszczony jest na wierzchu puszek i natychmiast powstaje otwór, przez który woda dostaje się do wapna. Zaczyna się „lasowanie” wapna. Procesowi temu, jak wiadomo towarzyszy znaczne podwyższenie się temperatury. Zawartość puszek nagrzewa się tak silnie, że pozostaje w stanie gorącym przez 2 i pół godziny. Wynalazek dokonał p. Rüdiger wraz z inżynierem Hungerem. Puszek zostały opatentowane w wielu krajach.

„Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY

W dniu wczorajszym w godzinach wieczornych przeszła nad Lublinem krótkotrwała, lecz nieomal huraganowa burza. Według otrzymanych ze źródeł prywatnych informacji, ofiarą burzy padł cyrk „Korona” wskutek silnego wiatru zostały uszkodzone nakrycia brezentowego cyrku i zwierzyńca, a nawet częściowo opady. Ulica Zamojska, bliżej mostu, została zalana tak silnie, iż przechodnie nieomal po kolanach brnęli w wodzie.

„Gazeta Lubelska”

Wybrała Anna Orzechowska

Kamena str. 13

# CZESŁAW TWARDZIK — POETA Z CHEŁMA

11 września 1979 roku wróciłem z pogrzebu Czesława Twardzika złamany i smutny. Odszedł bowiem na zawsze bliski mi człowiek z którym w latach 1955—1979 organizowałem szereg imprez literackich i kulturotwórczych w Chełmie, z którym związała mnie przyjaźnią poezja.

Jeszcze niedawno wręczył mi z piękną dyktacją ostatni swój tomik „Grawitacje” i snuł plany pisarskie na najbliższe lata: wybór satyr pod tytułem „Powtórka z uśmiechem”, zbiór nowych wierszy, tom wspomnień i... tom „Poezji zebranych”...



— Gdybym jeszcze zdołał to zrobić — mówił — to byłoby chyba wszystko. Teraz, gdy uporałem się z budową domu i mam wygodny „kął”, mogę pisać. Tylko, wiesz, czuję się źle, bardzo źle. Nie wiem, co będzie...

Rzeczywiście nie wyglądał najlepiej. Pocięszalem go. Był przecież w pełni sił twórczych. Wierzyłem, że jeszcze stworzy wiele interesujących utworów. W tydzień później znalazł się w szpitalu w stanie ciężkim. Choroba powaliła go gwałtownie, niespodziewanie. Po wylewie nie odzyskał przytomności, i mimo wysiłku lekarzy nastąpił kres. Stało się. „Umarł na skrzydle odlatującego kolibra” — jak sam napisał w liyku zamieszczonym w zbiorze „Zanim ucichnie” (1969).

Przeszedł niełatwą drogę życia. Urodził się 15 lipca 1914 roku w Barkach koło Chełma, w rodzinie małorolnego chłopca. W okresie międzywojennym ukończył średnią szkołę handlową w Chełmie. Brał udział w wojnie 1939 roku. W latach okupacji ukrywał się przed hitlerowcami i pisał patriotyczne wiersze pod pseudonimem Stalbard. Po wyzwoleniu, pra-

cując na różnych stanowiskach urzędniczych, działał społecznie. W roku 1963 ukończył roczne studium ekonomiczne w Krakowie. Został trwały siad swej pracy w radach narodowych, Frontie Jedności Narodu, w kulturze, w SD, gdzie piastował przez jedną kadencję stanowisko przewodniczącego WK SD w Chełmie...

Przed wojną utrzymywał luźne kontakty z chełmską grupą literacką „Przymaty” i Kazimierzem Andrzejem Jaworskim. Debiutował w prasie w roku 1934, a w dwa lata później wydał tom wierszy pt. „Z pierwszych szczybli”. Po wojnie drukował utwory liryczne i satyryczne — w „Kamieniu”, „Szpilkach”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Życiu Literackim”, „Sztandarze Ludu”, „Kurierze Lubelskim”...

Związała nas przyjaźń w roku 1955. To z Czesławem Twardzikiem i paru innymi organizowałem nowe, powojenne „Przymaty”, a w roku 1959 — Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej.

Po wojnie wydał: „Próba hymnu” — 1964, „Kształt ziemi” — 1965, „List z planety nieznannej” — 1965, cykl sonetów „Być” — 1969, „Zanim ucichnie” — 1969, „Tu ziemia woła człowieka” — 1974, „Grawitacje” — 1979. Obok twórczości lirycznej ogłosił „Szopkę” — 1965 i „Fraszki” — 1972, partyzancki dramat pt. „Zielona rapsodia” — 1966 i zbiór piosenek pt. „Nuty serdeczne” — 1967.

Utwory satyryczne Twardzika weszły do programów kabaretów „Buffo”, „Syrena”, „Wagabunda”, „Czart” i Polskiego Radia.

W 1936 roku uzyskał na konkursie poetyckim II nagrodę tygodnika „Żołnierz Polski” za utwór o tematyce wojskowej, a w 1966 Polskie Radio w Lublinie przyznało mu I nagrodę za reportaż „Made in Chełm”.

Władze, doceniając wkład Czesława Twardzika w rozwój kultury, wyróżniły go licznymi nagrodami i odznaczeniami, między innymi: Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem 30-lecia PRL, Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury, Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego, Odznaką Grunwaldu, Medalem za Udział w Walkach o Berlin, Medalem Zwycięstwa i Wolności oraz medalem Zasłużony dla Miasta Chełma.

Twardzik był członkiem Lubelskiego Oddziału ZLP, ZAIKS-u i Klubu Pisarzy SD.

W twórczości swej opiewał nie tylko ziemię chełmską i lubelską, ale dotykał problematyki ogólnoludzkiej. Przykładem są choćby takie publikacje jak „Tu ziemia woła człowieka” i „Grawitacje”.

Zmarł w pełni sił twórczych. Ostatni jego tom wierszy świadczył o dużych możliwościach poety.

Longin Jan Okoń

## KRONIKA KULTURALNA

● Jako wydarzenie ważne dla kultury polskiej i naszej obecności w świecie odnotowujemy ukazanie się we wrześniu nakładem znanej firmy londyńskiej The Linguaphone Institute, mającej swoje placówki dydaktyczne w kilkudziesięciu krajach, zestawu podręczników do nauki języka polskiego. Przewidywany głównie dla strefy anglojęzycznej „Polish Course Handbook” wprowadza współczesną polszczyznę do światowego systemu nauki języków. To cenne przedsięwzięcie zainicjował prof. dr Grzegorz Leopold Seidler, życzliwie i skutecznie poparty w swoich staraniach przez dyrektora wspomnianej instytucji londyńskiej, Keitha Rawson — Jonesa. Satisfakcjonuje nas, że podręcznik opracował zespół z wydawnictwa „Annales UMCS” — we współpracy z kilkoma innymi osobami spoza tej uczelni.

● Także we wrześniu prof. dr Wiesław Skrzydło, rektor UMCS, otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu im. Iwana Franki we Lwowie, z którym zresztą uczelnia lubelska od dawna rozwija wymianę naukową, przede wszystkim w zakresie nauk humanistycznych. Nasze gratulacje.

● Recital fortepianowy Japończyka Rinko Kobayashi zainaugurował kolejny „Lubelski wrzesień muzyczny”, z powodzeniem publicznym organizowany przez Filharmonię Lubelską. Na zakończenie imprez przewidziano koncert kantatowo-oratoryjny W. A.

Mozarta („Wielka msza e-moll) w kościele przy Pl. Wolności

● W ramach obchodów 40 rocznicy napaści hitlerowskiej na Polskę odsłonięto w Lubartowie pomnik, upamiętniający heroiczną walkę naszego narodu o wolność. Monument, usytuowany w centrum miasta, w pobliżu dworca autobusowego PKS, jest dziełem artystów lubelskich.

● Przy końcu września w piwnicach byłej klatki gestapo „Pod Zegarem” w Lublinie otwarto stałą ekspozycję martyrologiczną, złożoną z fotografii więźniów, dokumentów i innych pamiątek. Szczególnie wymownym i dramatycznym elementem ekspozycji są autentyczne napisy, wykonane na ścianach przez więźniów i odsłonięte po latach. Muzeum uruchomiono dzięki staraniom Klubu b. Więźniów Zamku i „Pod Zegarem” przy ZBOWID.

● Lubelski Teatr Lalki i Aktora im. Andersena coraz częściej i szerzej spożytkowuje sugestie wynikające z drugiej części jego nazwy. Oto w połowie września w budynku przy ul. Klonowicza rozpoczęła działalność „Scena Foyer”, przeznaczona dla publiczności dorosłej i będąca miejscem samorealizacji samych aktorów. Na premierę wybrano „Alarm” Krzysztofa Chońskiego w wykonaniu Hanny Pater i Kazimierza Talaja.

● Zespół Tańca Ludowego „Bławena” z Białej Podlaskiej został uznany za najlepszy na międzynarodowym festiwalu folklorystycznym w Nancy (Francja). Dobrze spisał się także Zespół Tańca Ludowego UMCS podczas szóstego międzyna-

wego festiwalu w Austrii, występujący później w kilku miastach włoskich.

● Kruszy się XVIII-wieczny pałac w Radzynie Podlaskim, bo... użytkuje go kilkanaście instytucji. Przygotowano więc dokumentację remontu (zachodniego skrzydła) i propozycję przekazania dorodnego, mimo wszystko, obiektu w jedne ręce. Przypominajmy, że pałac był pierwszym obiektem zabytkowym, do którego konserwacji zabrano się jeszcze w 1944 roku, zaraz po wyzwoleniu tych terenów. Może fakt ten także zobowiązuje do większego szacunku dla budowli...

● W znacznie gorszym stanie znajduje się klasycystyczny pałac w Lubuniach koło Zamościa, o którego smutnym losie pisaliśmy już zresztą prawie 10 lat temu. Użytkowany od dawna przez szkołę — niewdzięcznego, niestety, gospodarza — ani chybi popadnie w ruinę, jeśli nie znajdzie zamożnego mecenasa. A taki to ładny budynek, otoczony pięknym parkiem i położony niedaleko dobrej drogi...

● W dniach 20—22 września odbyły się Dni Zamościa w Lucku. W stolicy obwodu wołyńskiego zamieszczenie przedstawili się wielostronnie, obok wystaw plastycznych, fotograficznych i informacyjnych oferując występy zespołów artystycznych, a nawet filmy animowane dla dzieci. W roku przyszłym odbędą się natomiast Dni Lucka w Zamościu.

● Ciągną ludzie do Biura Wystaw Artystycznych w Lublinie, gdzie we wrześniu wystawia swoje malarstwo Jerzy Duda-Graec, bezkompromisowy obserwator naszej codzienności, a przy tym dobry majster i twórca obdarzony znaczną wyobraźnią. Jeszcze raz przekonujemy się, że szeroka publiczność szuka w sztuce przede wszystkim tych treści, które korespondują z jej potocznym doświadczeniem życiowym.

● W połowie września w Muzeum Okręgowym w Lublinie otwarto wystawę: „Zastępcze znaki pieniężne w Wojsku Polskim (1925—1939)”. Rzecz warta uwagi.



## Wajda a... literatura

CZY nadejdą kiedyś takie czasy, gdy recenzenci pisząc o filmie powstałym w oparciu o powieść lub opowiadanie, przestaną oceniać go bezustannie pod kątem „wierności” lub „niewierności” względem literackiego pierwowzoru? Niby wszyscy się zgadzają, że racja, że dzieło filmowe ma prawo do samolstnego życia, a reżyser może się inspirować literaturą, aby stworzyć film wprawdzie tyleż wierny zamysłowi autorskiemu i klimatowi dzieła, co jednak — bardzo osobisty, to przecież w praktyce wciąż się przewija w recenzjach owe: „a jednak, autor...”.

Oczywiście rzadko kto „ujmuje” się za pisarzami trzeciorzędzimi; tutaj wszyscy zgadzają się na niepisana zasadę, że zazwyczaj dobre filmy powstają w oparciu o mierną literaturę. Ale im pisarz większy, tym zaraz pretensje krytyki wobec reżysera — poważniejsze.

Zgoda, istnieją od tego odstępstwa: film Nikity Michalkowa „Niedokończony utwór na pianole” traktujący w sposób dość dowolny czechowskiego „Platonowa”, szedł przy zgodnym aplauzie recenzentów. Ale przypomnijmy sobie, jaką burzę wywołały kiedyś „Popioły” Andrzeja Wajdy!

Czy Wajda miał wtedy rację, stwarzając własną wizję „Popiołów” Zeromskiego? Miał ją. Można natomiast pozostać nadal otwartym pytaniem, czy aby dorósł wówczas do snucia odmiennych niż Zeromski koncepcji historiozoficznych.

Czy Wajda miał prawo w taki a nie inny sposób potraktować „Lotną” Żukrowskiego? Dzisiaj, po dwudziestu latach, chce nakręcić remake „Lotnej”... „Bo już wiem, jak ten film powinien wyglądać na ekranie” — mówi w wywiadzie zamieszczonym w czerwcowym numerze miesięcznika „Kino”. I to niech wystarczy za odpowiedź...

Wydaje mi się, że nie można mieć pretensji do reżysera o fakt przejęcia dzieła literackiego na swój sposób, a więc i wyciągnięcia z niego własnej, w tym wypadku filmowej, refleksji. Problem powstaje dopiero wówczas, gdy to przejęcie jest kalekie, a refleksja nieudolna lub wręcz z gruntu fałszywa. Zostały bowiem wtedy po prostu przekroczone pewne dopuszczalne granice pomiędzy dwoma regionami autorstwa.

Te granice są, skądinąd bardzo trudne do wyznaczenia, zależne od szeregu czynników i punktów odniesienia. Istnieją dzieła literackie związane na stałe z tradycją narodową, z czytelnictwem tradycją rodzinną, z mentalnością i sposobem przeżywania w określonej społeczności, gdzie granice owe będą dla reżysera bardziej sztywne: weźmy choćby „Lalkę” Prusa czy „Trylogię” Sienkiewicza. Nie bez powodu „sprawdzają” się bardziej na ekranie telewizyjnym, w wieloocinkowym serialu, gdzie reżyser z góry zakłada „wierność” literaturze, przenosząc ją w uświęcony sposób na ekran. (Co nie znaczy, że nie przeżywa tych dzieł na własny sposób, tyle, że nie eksponuje swego przeżycia w sposób zbyt indywidualistyczny).

Granice autorstwa między pierwowzorem literackim a powstającym w oparciu o niego filmem nabierają znacznej elastyczności zazwyczaj wówczas, gdy temat podjęty przez pisarza dotyczy problemów ogólnoludzkich, ponadczasowych, gdy wkracza w rejony filozofii, psychologii, reakcji człowieka na otaczający go świat, upływanie czasu... Jest rzeczą mało istotną zastanawianie się w takim przypadku, czy reżyser rozmięścił znaki filmowej interpunkcji w ten sam sposób, jak to uczynił pisarz, od którego zaczerpnął — nie bójmy się tego słowa — natchnienie.

Piszę o tym wszystkim dlatego, że czytając pierwsze recenzje najnowszego filmu Andrzeja Wajdy „Panny z Wilka” wynikałego (może to właściwsze określenie niż: „ekranizacja”) ze znanego opowiadania naszego wybitnego pisarza wciąż spotykamy te skrupulatne odwołanie literatury z filmem: „Iwazkiewicz a Wajda”, „kształt literacki a kształt filmowy”, „co chciał przez daną scenę powiedzieć pisarz, a co reżyser”.

Ślawa i chwala tym, którzy przeanalizowali każdy podmiot i orzeczenie w „Pannach z Wilka” Jarosława Iwazkiewicza, ale chciałbym się przede wszystkim dowiedzieć, co myślą oni o „Pannach z Wilka” Andrzeja Wajdy? Co w czasie ich oglądania przeżyli, jakie refleksje po wyjściu z kina nawiedziły ich w domu? Co dobre, a co złe w tym filmie? Ale nie w odniesieniu do literatury, nie w odniesieniu do literatury... Czy ten film sam w sobie jest piękny, prawdziwy, czy on jest Sztuka?

Czytam też w miesięczniku „Kino” przedruk fragmentu listu, jaki Anna Iwazkiewiczowa napisała do red. Wandy Wertenstein po obejrzeniu wajdowskich „Pani z Wilka”: „...byłam na pokazie (...) i jestem tym filmem zachwycona; oczywiście to jest co innego w wielu rzeczach, ale jest bardzo piękne. Aktorstwo (kobiety) fantastyczne, natomiast taki świetny aktor jak Daniel wydaje mi się w tej roli słabszy, tzn. jest wciąż jednakowy, od pierwszej chwili do końca. Rzecz zasadnicza: przepiękne plenery, przyroda cała, no i wnętrza tego skromnego, ale jak widać zażywnego „młodego dworca”. Różne od opowiadania Jarosława jest przede wszystkim to, że „Panny z Wilka” należą do tych niesłychanie rzadkich u Jarosława opowiadań utrzymanych w tonacji pogodnej, a tam tego nie ma, bo zaczyna się (retrospektywnie) od pogrzebu, pod koniec nieudane samobójstwo Tuni itp. rzeczy, ale niech tak będzie. Powtarzam, że film jest bardzo piękny”.

„...ale niech tak będzie”. Dlaczego? Bo... „film jest bardzo piękny”. A to znaczy także, że prawdziwy, ludzki, przeżyty głęboko przez swojego twórcę i wynikający z niedyśkretniejszego przeżycia pisarza. I dlatego zasługujący na pełną akceptację... choć taki „Inny”.

Wolę ten fragment listu pani Anny Iwazkiewiczowej od tuzina recenzji.

M.D.

# POCZTA literacka



S.T. Tomaszów Lubelski. Jest w tym sporo szczerzej liryki, ale Pan nadmierne „przetrimuje” nastroj, nie pozwala mu przerosnąć w stadia następne, skutkiem czego wiersz nie ewoluuje, stoi w miejscu. A przecież Gajczyński mówił o poezji jako o „ruchu ku sercu człowieka”. To prawda, że zał się czasem rozładuje z „niewyeksplloatowanymi” do końca obszarami doznania, ale trudno i darmo: wiersz ma swój rytm, swoją logikę wzrostu, chciałoby się powiedzieć — tempo sekwenencji jak na filmie. Nawet wiersz typowo refleksyjny, tyle że to „przypieszenie” jest „wewnątrz”, nie rzuca się bezpośrednio w oczy. Konkluduje: obróbka jeszcze szwankuje, ale sam materiał jest dobrej jakości, surowiec poetycki obfity.

R.O. Toruń. Ma Pan rację. Odpowiadający w tej rubryce znajduje się między miotem a kowadłem. Między kano-nami „oficjalnej” poezji a kryterium własnym. Następuje kontrowersja. I przyznam się, że w rezultacie wybieram to drugie. Dlaczego? Czyżby górę wziął mój własny strychulec? Tak to na zewnątrz wygląda, ale w ocenach nie mogę się powodować sądami innych. Aczkolwiek mam służyć pomocą w wejściu na tzw. rynek, więc przedstawic jego zapotrzebowania, a nie własny gust, mówię bardziej od siebie niż pod kątem ewentualnych gestów, do których mój korespondent się zwróci. Usprawiedliwiam się, że po pierwsze — nie ma żadnego Sądu Najwyższego poezji, czyli miar i kodeksów bezwzględnych, po drugie — swoje opinie wypowiadam w trybie dyskusji, propozycji, rozmowy, a nie ferowania werdyktów. Taki sposób jest bardziej pomocny, bo mobilizujący samego piszącego do zwalorywania artystycznych argumentów. Przyznam się, że jest i powód trzeci: unikam arbitralności po to, by przypadkiem nie „zaskarbić” sobie ujemnych epitetów od autorów tekstów nie przyjętych do druku, a takich z konieczności jest sporo. Co do pańskich wierszy, nie wypada mi się o nich nie wyrazić z powodów niezależnych od naszej rozmowy, która jako taka zawsze zobowiązuje do pewnych konwencjonalności. Są ciekawe, mają w sobie dużo wigoru fantazjotwórego i niezależności od powszechnie praktyk-wanych „sposobów”. Przypuszczam, że w przyszłości osiągną znacznie dobitniejszy wyraz, jeżeli... ich autor przy poezji zostanie. Bo czuję, że nie bardzo się na to znoś. Czy mam rację? Tego nawet Pan nie wie. Tylko przyszłość.

F.W. Biała Podlaska. Są to wiersze niewątpliwie ciekawe i świadczą o dużym czytaniu nie tylko zresztą w poezji, ale — jak na mój gust — za bardzo „kulturowe”. Pan tekst inkrustruje znanymi i mniej znanymi nazwiskami z historii kultury jak gdyby w przeko-naniu, że w ten sposób przejmą coś z atmosfery spraw z tymi nazwiskami związanych. Jest to coś w rodzaju posługiwania się prefabrykatami. W momencie przystąpienia do pisania wiersza trzeba zapomnieć, że był Heraklit, d'Alembert, El Greco, Grillparzer. O-wieczem, niech to wszystko wyplynie, ale dopiero jak uniesione fał wiersza. Wtedy stanie się funkcjonalne.

LP. Chełm. Owszem, proza (zresztą poezja też) jest nieustannie narażona na zarzuty. Albo swą rzecz ujmie szeroko, z rozległej perspektywy humani-stycznej, wtedy się mówi, że odeszła od konkretności dnia dzisiejszego, albo zarzuca realia bezpośrednio współczesności, wtedy się również mówi, że nie ma potencji filozoficznej. Albo posłuży się galerią wielu postaci, wtedy zarzuca się jej brak penetracji psychologicznych, albo zamknięcie swą problematykę w obrębie kilku bohaterów, wtedy pod-kreśli się nieobecność szerokiego przed-stawienia społecznego. Co robić? Nie ma nic. Moja odpowiedź w tej i podobnych kwestiach brzmi: pisać tak, by jakikolwiek pytanie było niemożliwe, to znaczy narzuć swą wizję, swą tezę, swój sposób ujęcia. Niech krytyka będzie opisem istniejącego utworu, a nie propozycją inności, który na jego miejsce miałby powstać. Wiem, że w-w-krećlem się słaniem, ale innej odpow-iedzi znaleźć nie mogę, a pocieszam się, że nikt inny też nie. Wszelako zda-wać sobie sprawę, że autor musi być fednym podmiotem sprawczym dzieła (w znaczeniu forsowania przede-wszystkim swojego sposobu widzenia świata) jest konieczne. (Tym razem to z mojej strony komunał, bo przypusz-czam, że aż tak daleko pańskie wąp-łności nie sięgają).

P.G. Siedlce. Tych wierszy jest bar-dzo dużo. Zapytam dyskretnie: czy nie ciągnie Panu ich nadmiar? Mam na my-sli: nie dokuczka stan rzeczy, że wi-docznie nie wyraża Pan wystarczająco swoich nastrojów, skoro w tak krótkim czasie tyle potrzeba było „naprzy-mierzać”? Proponuję większą kondensację — również co do ilości. Podejmuję się wskazać kilka podobnych. Jakby — owszem — ciągle próbowanie tego sa-mego motywu. Ale można też odpowie-dzieć mniej nobilitująco: powtarzanie samego siebie. Chciałbym otrzymać no-wą przesyłkę. Ale do baru miedziacza.

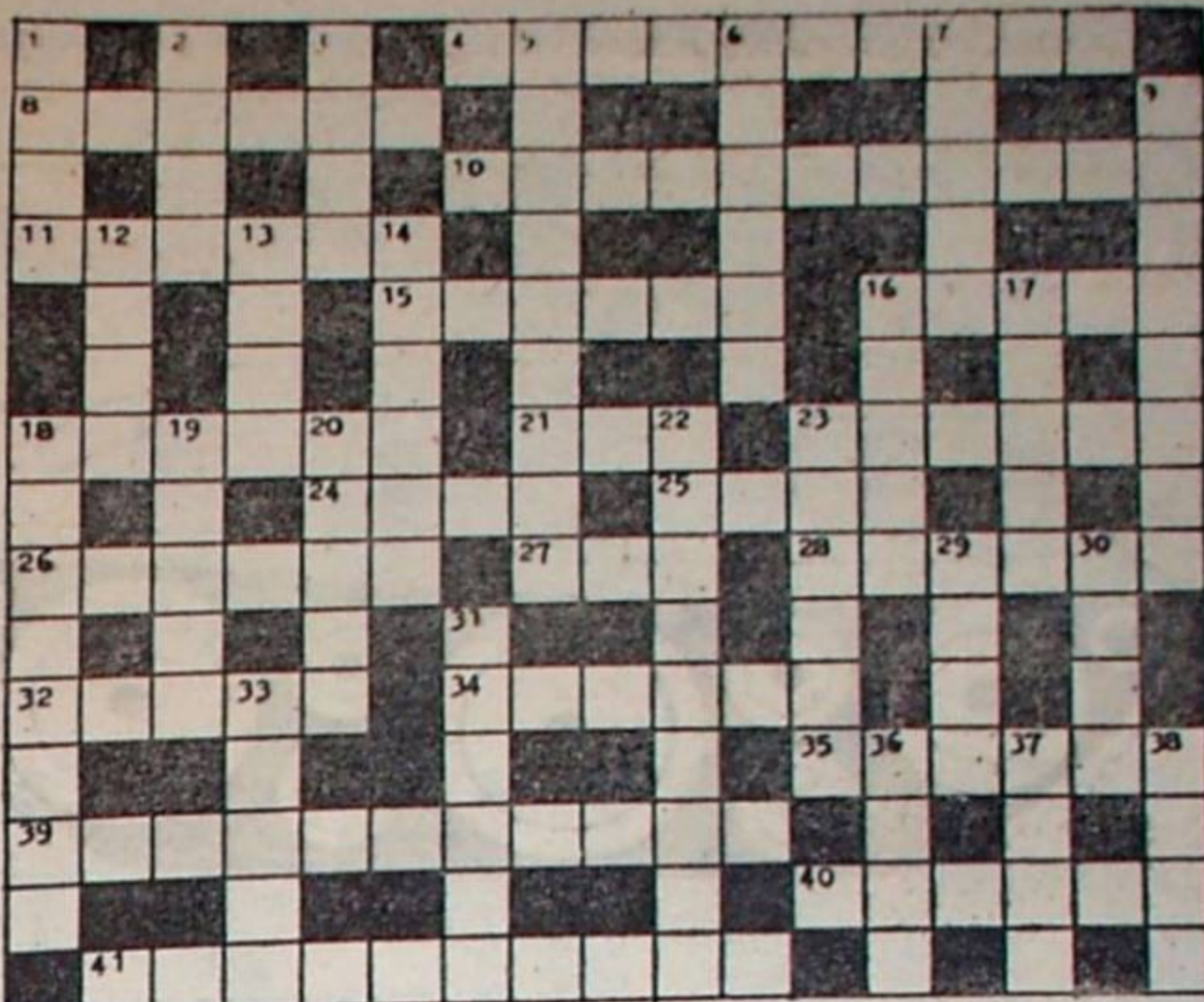
## KRZYŻÓWKA

(nr 20)

POZIOMO: 4. polski dyrygent i kompozytor, twórca chóru „poznafskie słowiki”, 8. kierownictwo wybielalne, 10. wybitny polski kompozytor okresu międzywojennego, 11. prosta busola, 15. drzewo dostarczające tłuszcz, 18. ptak — godło, 18. jeden egzemplarz, jedno w statystyce, 21. plyn z owoców, 23. masto Melexów, 24. natarcie, 25. miasto nad Wołgą w obwodzie kalinińskim, 26. bogini sprawiedliwości, 27. przepływa przez Stargard Szczeciński, 28. filozof i matematyk polski, profesor UM i w Berkeley, 22. bardzo śmieszny utwór sceniczny, 24. kawałek morza wcinający się w ląd, 35. przenosi siła wiatru na statek, 39. technika kompozytorska oparta na dwunastodźwiękowej gamie, 40. pociąg pośpieszny, 41. bardzo znany współczesny kompozytor polski, twórca „Diabłów z Loudun”.

PIONOWO: 1. porządek, elegancja, 2. pół-wysp Morza Czarnego, 3. będzie z niej chleb, 5. nazwisko Komedy, 6. największe miasto Nigerii, 7. brama, drzwi lub okno, 8. wybitny dyrygent polski, który nagral ostatnio wszystkie symfonie Beethovena, 12. eksponat, 13. państwo w pld. Ameryce, 14. utwór instrumentalny 3-4 częściowy, 16. tłuszcz z 15. poziomo, 17. murzyn grupy Bantu, 18. szpikowana pieczeń wołowa, 19. morze i wyspa na Pacyfiku, 20. członkowie reprezentacji, 22. polski taniec ludowy, 23. powierzchnia lokalu, 29. miejsce bokserkiej walki, 30. wielki port japoński na wyspie Honsiu, 31. kierowca, 33. poeta polski, tłumacz poezji rosyjskiej i radzieckiej, 36. rzeka stanowiąca w części granicę między ZSRR i ChRL, 37. czczony w Egipcie krew-niak bochana, 38. instrument Terpsychory.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.



Rozwiązanie krzyżówki z nr 18  
Poziomo: Tarkiewicz, ulan, elf, opera, dres, agat, Anadyr, Antoniusz, owca, Cyryl, opoka, Nemo, szpicruta, Lesser, koks, leże, Radom, Uri, Krym, zjednoczenie.  
Pionowo: Kasprowicz, Urban, Klejdany, rzeszoto, rufa, baba, Rapacki, gnu, Imandra, Szymonowie, ruralizm, Pieszków, kalendy, Puk, Erazm, Odra, suma.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 18, bony książkowe po 40 zł każdy wycło-wali: Bohdan Bienkowski, 20-323 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 13 m. 1, Stanisława Gaś 95-200 Pabianice, Bugaj 74 m. 61, Stanisława Widz, 23-200 Krasnik, Swierczewskiego 4, Adam L. Awik 38-421 Kombornia 38-421 woj. Krocno.

## PARADOKSY

Jak wiadomo, każdy obywatel na-szego kraju udający się samochodem za granicę winien umieścić na widocz-nym miejscu swojego wozu znak „PL”. Tymczasem nalepka z tym znakiem jest praktycznie niedostępna w handlu, o czym przekonałem się w sierpniu, ja-dąc z Puław do RFN. Na całym pol-skim odcinku trasy, w żadnej ze stacji benzynowych, w żadnym „Polmozy-cie” nie mogłem kupić tego potrzebnego drobiazgu, co zmusiło mnie do własnoręcznego narysowania liter „PL” na kawałku kartonu i przyklepienia go na szybie. W końcu przecież nalepką kupilem: na stacji benzynowej w RFN, przy autostradzie! I do tego tak efek-towną, że niedługo po przyjeździe do kraju ktoś mi ją ukradł.

Inna sprawa: za brak chlapacza (far-tucha) przy kole samochodu można o-berwać mandat. No i dobrze, tylko wskazać mi miejsce, gdzie można kupić ten kawałek gumy! I czy w tej situa-cji uzasadnione jest karanie kierow-ców, którzy stracili na trasie chlapacz? Paradoksy ubarwiają życie, ale czy nie jest ich ciut za dużo?!

Tadeusz Młynik  
Puławy

## GDZIE JEST SGRAFFIYO?

Odwiedzając czasami Lublin z regu-ły idę na Stare Miasto, które lubię i znam dobrze. Podczas ostatniej wizyty, po dwuletniej przerwie, z niepokojem więc stwierdziłem zniknięcie sgraffita z wizerunkiem Wincentego Pola, które znajdowało się na jednej z ka-

mienic przy ul. Grodzkiej; tam, gdzie mieszczą się Pracownie Konserwacji Zabytków, a kiedyś — jeśli się nie mylę — urodził się poeta, geograf, etnograf, wybitny Polak. Dlaczego us-a-nięto ten wizerunek i kto wpadł na taki pomysł?

Władysław Górnicki  
Warszawa

## CHWAŁĄ LSP

Co tu ukrywać, krzywym okiem pa-trzyłam początkowo na Lubelskie Spotkania Plastyczne, w ramach któ-rych artyści z całego kraju ozdobili malowidłami i rzeźbami domy i skwe-ry na LSM. Niektóre bloki w nowych osiedlach, np. im. M. Konopnickiej, la-tami czekają na tynki, a tu wydaje się pieniądze i zużywa materiały na takie luksusy. Obecnie zmieniłam jednak zdanie — kiedy zobaczyłam sympatyczne efekty estetyczne, jakie przy-niosło końcowe właśnie budynku zarządu LSM metalowych kompozycji, bodaj z twardego aluminium. Ładne to, ożywiające standardową architek-turę obiektu, warte uwagi, a przy tym będące czymś w rodzaju stałej lekcji sztuki współczesnej. Wydaje mi się, że plastycy powinni częściej uczestniczyć w pracach naszego budownictwa, ale już w etapie projektowania i wnosze-nia osiedli. Jest to ostatecznie rzecz oplacalna, bo wszyscy chcemy miesz-kać w ładnym otoczeniu, a domy sta-wia się na lat kilkadziesiąt.

Jadwiga Gałązka  
Lublin

## Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyz-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mi-kulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:  
— do 15 listopada na I i kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następnego,  
— do 15 marca na II kwartał roku bieżącego,  
— do 15 czerwca na III kwartał i II półrocze,  
— do 15 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.  
Prenumeratę ze zleceniem wysyłać za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 23 00-950 Warszawa, konto PKO nr 1331-71.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłać za granicę jest droższe od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indy-widualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-18.

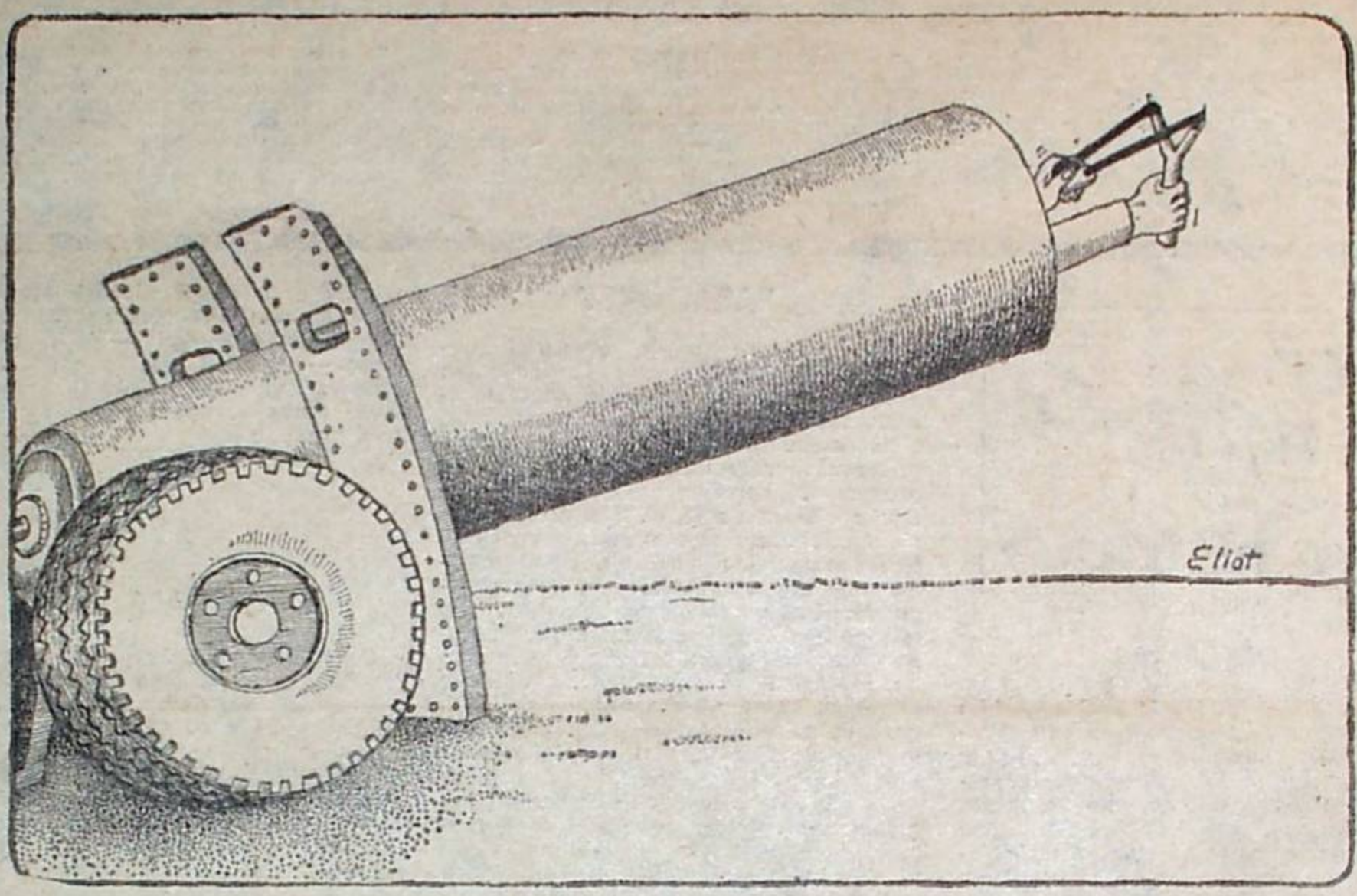
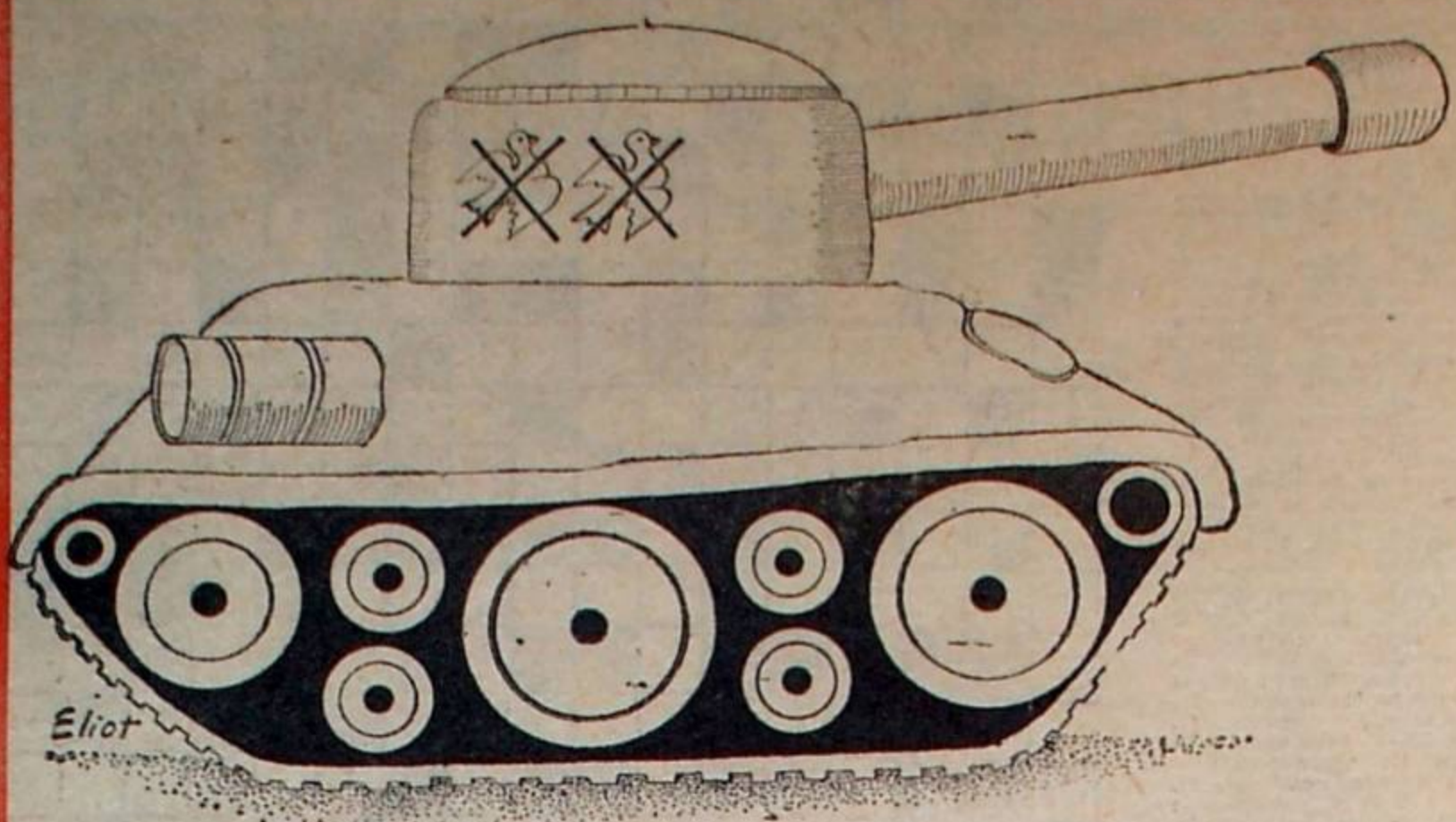
Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lu-belskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, Unieka 4.

Numer łamal Mieczysław Paujek, drukował zespół pod kier. Henryka Smita

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu 30351

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 dział publicystyki i literacki 275-35.  
Korespondencje rzykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.



Rys. Jerzy Lipiec

## FRASZKI

Jerzy Leszczyński

### TRUDNA RADA

Jeżeli panem siebie być chcesz —  
to własnym sługą musisz być też.

### NAUKA

Czasem lepiej, by w las  
poszła, zamiast iść w nas.

### WOKÓL CZEGO KRĘCI SIĘ ŚWIAT

Dla jednych to oś świata —  
dla innych zaś oś fiata.

### RODZAJ CYRKOWCA

Zmienia żony ciągle —  
rzec by można: żongler.

### ŻYCIE

Mija krzyżyk za krzyżykiem —  
a kończy się cmentarzykiem.

Stanisław Turczyn

### CALE SZCZĘŚCIE

Cale szczęście, że tak trudno o  
bo by wszystkich nie pomieścił  
nasz Wawel.

### TRUDNE RZEMIOSŁO

Gdyby to było takie łatwe,  
szewc by dla fraszki rzucił dratwę.

### BŁĄD RACHUNKOWY

Czyżby jakiś błąd tu wkraść się  
dwa półgłówki nie stanowią jednej  
rachunkowy:  
głowy.

### DUET

Wspólną w swym działaniu ustalili  
on gwizdże na honor — ona na  
linię:  
opinię.

### NIE KAŻDA

Nie każda głowa ścięta  
musi być zaraz ścięta.

### BEZ OBRAZY

Nie powód do obrazu ani  
gdy pies psu nawymyśla od  
rękoczynów,  
sukinsynów.

Fryderyk Podolecki

### NAKAZ CHWILI

W duchy się wierzy lub nie wierzy.  
Lecz z duchem czasu iść należy.

### SKROMNA SATYSFAKCJA

Ci w Złoty Piaskach, tamci w  
Zagorze,  
Nad Balatonem, w Splicie nad  
morze,  
We Włoszech nawet są na urlopie!...  
Ja nad Baltykiem... Też w Europie.

Zbigniew Uchnast

## Pozycja

Wacek bardzo nisko, ukłonił się jakiemś facetowi.  
— Kto to jest?  
Wacek położył palec na ustach. A gdy oddalili-  
my się na bezpieczną odległość, powiedział.  
— To jest hm... pan Antoni, przez którego wszyst-  
ko można załatwić.  
Po tym wyjaśnieniu nie byłem wcale mądrzejszy.  
On to zauważył.

— Czekaj. Jego ojciec pracuje w wydziale za-  
trudnienia...  
— Tak.  
— Rodzony brat — to prezes spółdzielni mieszka-  
niowej.  
— I co jeszcze?  
— Jeszcze ci mało? Wiedz przeto, że jego wu-  
jek jest prezesem sądu.  
— No dobrze, powiedz wreszcie kim on sam jest!  
— Głupie pytanie. Jest synem jednego z wymie-  
nionych, szwagrem drugiego, bratem trzeciego i tak  
dalej.  
— Ale sam gdzie pracuje?  
— A czy on musi pracować, mając taką pozycję?

Marian Karczmarczyk

## POWIĄSTKI Z MORAŁEM

### SZEWEC

Przymknęła oczy. Jakby zawsty-  
dzona tym, że jego dłoń spoczęła  
na jej kolanach. A on mówił: —  
Chcę być twoim więźniem, więc  
zamknij mnie w celi swego serca.  
Otwórz bramy powiek, bym mógł  
ogładać niebo twoich oczu. Nie  
odmawiaj mi poczęstunku rodzy-  
nkami twoich ust. I daj mi swoją  
rękę — dodał z zażenowaniem.  
Pomyślała, że ma do czynienia  
z poetą. Jednak w trakcie konwer-  
sacji wyjaśnił, że jest kwalifiko-  
wanym szewcem. I wcale nie ma  
zamiaru przerobić ją na swoje kó-  
pyto. Obiecał przy tym, iż zrobi jej  
najwspanialsze pantofle. Po kilku  
tygodniach oddał mu rękę. I inne  
części ciała. A on słowa dotrzymał.  
Zrobił pantofle, które okazały się  
majstersztykiem szewskiej profesji.

I niebawem znalazł się... pod tymi  
pantofkami na jej zgrabnych no-  
gach. Najgorzej, gdy dzieło przyg-  
niata swego twórcę.

### O POLOWANIU

Wypełniony dumą unosił się nad  
innymi jak balon. Zbyt wysoko,  
by można go dosięgnąć. Sytuacja  
ta rozpalala wściekłość u tych na  
dole. Pewnego dnia, obciążony  
balastem przewinienia obniżył  
loty. Szybko więc wykorzystano  
okazję strzelając do niego kalu-  
brami najcięższego kalibru. I tra-  
fiono go. Ranny moralnie — spadł.  
Na ich głowy. Przez co nie poniósł  
szkód cielesnych. A oni mieli skrę-  
cone karki. Polując na unoszących  
się trzeba wziąć pod uwagę ewen-  
tualność, że możesz być trafiony  
ofiara.

### PRAWO JAZDY

Podpisując w Urzędzie Stanu  
Cywilnego akt ślubu myślała, że

uzyskała już prawo jazdy. Prawo  
jazdy na mężu. Chcąc praktycznie  
sprawdzić swoje „kwalifikacje”  
już w pierwszych dniach pojęcia  
próbowała go „dotrzeć”. Ale kie-  
rując niewprawną ręką doprowa-  
dziła do kolizji z szafą uszkadzając  
jego maskę (policzek). Po kilku  
następnych próbach nie miała już  
trudności, ale niewiele mogła na  
nim wyciągnąć, bo środkiem na-  
pędowym, jaki używała, było chude  
mleko o niskiej zawartości tłuszczu.  
Najczęściej „przejeżdżała” się na  
nim w chwilach złości. Brała też  
udział w kilku rajdach: od pokoju  
do pokoju. Aż pewnego razu jeden  
z przyjaciół, bez jej zgody, wlał  
do jego „baku” pół litra żytniej.  
Gdy go „zapaliła”, ruszył z miej-  
sca z dużym przyspieszeniem i...  
raptownie zahamował, co spowodowa-  
ło, że uderzyła głową w szybę  
wylatującą przez okno. Szczęście, że  
rzecz działa się na parterze. Ze  
złamaną ręką zabrało ją pogotowie.  
Wróciła do domu z gipsem. Na ra-  
zie na mężu nie jedzie. Obawia się  
o drugą, zdrową rękę. Mając pociąg  
do jazdy na innych, można wykole-  
ić siebie.